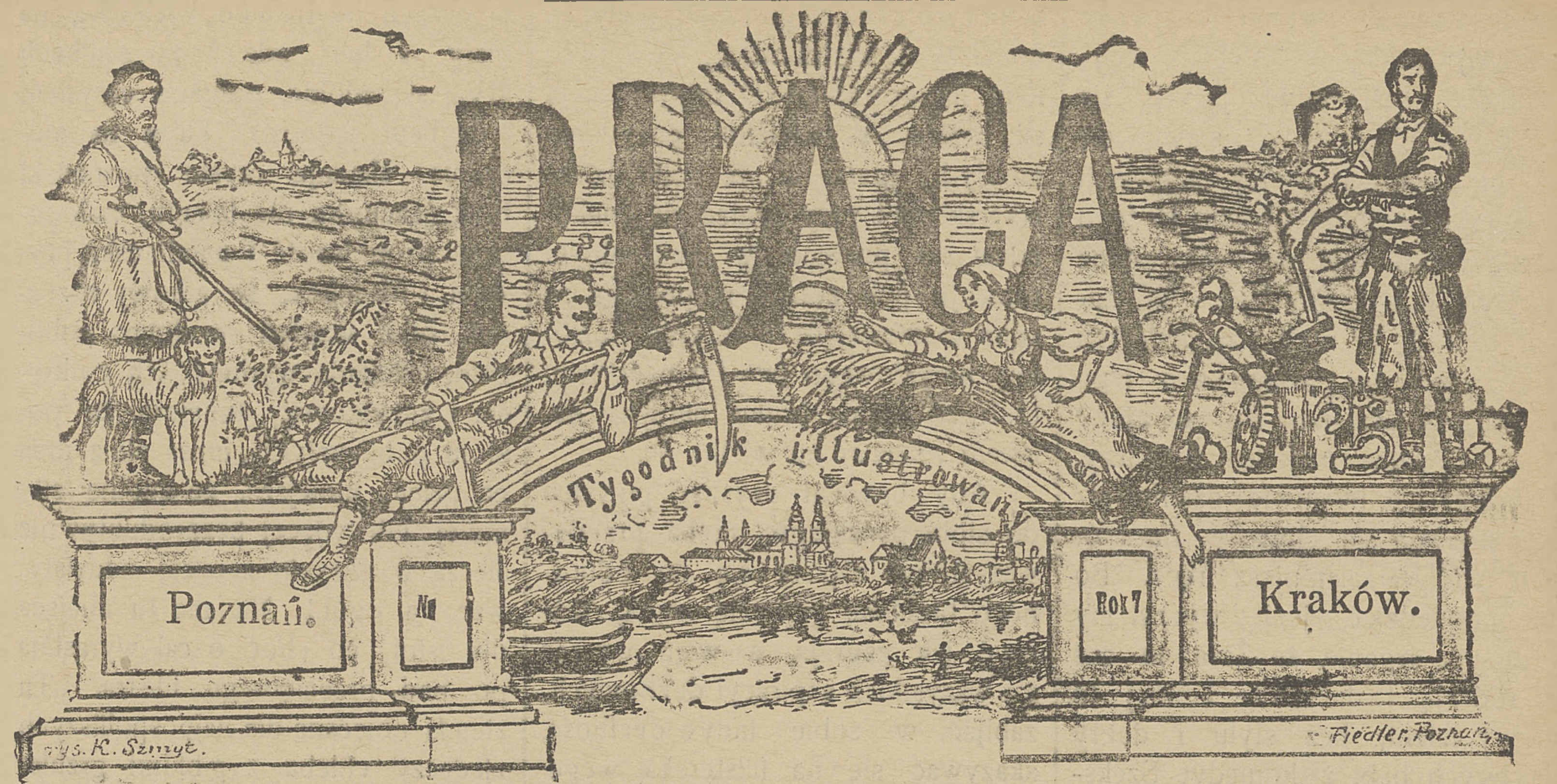
Nr. 43. Poznań, dnia 24-go października 1903. Rok VII



Treść nr. 43-go.

Dział polityczny: Hodowla miernot. — Ugodowe mieszczaństwo. — Kronika przedwyborcza. — Z Galicyi. — Z tygodnia. — Przegląd prasy. — Głosy od przyjaciół.

Felieton: Z teatru.

Dział illustrowany: Z ojczystych stron: Toruń I. — Listy z nad jezior mazurskich. *(Ciąg dalszy.)* — Z żałobnej karty. — Jesień. *(Wiersz).* — Djabeł Boruta. — Człowiek potwór. — Odwróć źrenice od nędz świata. *(Wiersz).* — Spadki milionowe. — Wspomnienia z niewoli moskiewskiej r. 1863-go.. *(Ciąg dalszy).* — Nie trać nadzieji. *(Wiersz).* — W stepie. — Kronika. — Zaproszenie do przedpłaty. — Wiadomości. — Zmarli. — Wiadomości literackie. — Od Redakcyi. — Dział kobiecy. — Dział rolniczo- ekonomiczny. — Dodatek humorystyczny. — Dział powieściowy *(Śpiewaczka ludowa. Ciąg dalszy. Arkusz 18-ty.)*

Illustracye: Albumowa: Pożegnanie. — Kościół Panny Maryi w Toruniu. — „Dansker“, wykusz w zamku krzyżackim w Toruniu, znajdujący się obecnie w ruinach. — Brama miejska w Toruniu. — Ratusz w Toruniu. — Portret śp. Waleryi Marene-Morzkowskiej. — Djabeł Boruta. — Dippold, człowiek-potwór. — Dwie ryciny do powieści: „Śpiewaczka ludowa“.

Hodowla miernot.

Gdyby z słów prawdy miała wyniknąć obraza, lepiej obrazić aniżeli ukrywać prawdę.

(św. Hieronim)

Skoro wydostaniemy się za słupy graniczne i w kole inteligencyi polskiej rozmowa wtoczy się na tory umysłowości, można być przygotowanym na to, że zakordonowi inteligentnicy spozierać będą mimo woli na ciebie, Wielkopolaninie, z pewnem odcieniem politowania. Rozprawiając między sobą, nikt nie zwróci się do ciebie, bo cóż może wiedzieć o literaturze, sztuce lub postępach nauki homo barbarus przybyły z... Beocyi, z „kraju ciemności“. Te niepochlebne epitety przylgły do Poznańskiego i wiele wody upłynie zanim da się wykorzenić z umysłów głębokie uprzedzenie — jeźli wogóle jeszcze na tej ziemi Śniadeckich, Libeltów, Berwińskich wskrzesimy erę nowego życia umysłowego.

Dzisiaj uderzywszy się w piersi, wyznać trzeba, że era ta zda się bezpowrotną, że toniemy w ciemnicy, którą tylko dorywczo i trwożliwie rozjaśnia promień światła wiedzy, wyzwolonej z więzów konwencyonalnej scholastyki i bezdusznej formalistyki.

Wprawdzie należy zważyć, że żyjemy w okresie przejściowym, w którym społeczność nasza przetwarza się, demokratyzuje tak, iż zacierają się coraz więcej różnice, dzielące inteligentnika od mas, więc nie można nas winić za wiele braków i rażących luk w naszym gmachu umysłowo - społecznym. Powtóre tłomaczą nas okoliczności, wpychające żywotne czynniki, które nad Wisłą lub Pełtwią szukałyby dla swej energii umysłowej innego ujścia, w młynku spraw politycznych i społecznych. Polityka pochłania tu wszystkich, walka z przemożnym wrogiem wciąga wszystkich w szeregi.

Atoli można od nas żądać i oczekiwać, abyśmy w tych dziedzinach, które kultywujemy, przynajmniej jakokolwiek dotrzymywali kroku innym polskim dzielnicom, abyśmy zużytkowywali w piśmiennictwie siły, stojące do naszej dyspozycyi, i tak usiłowali rzetelnie podnieść skalę naszego dziennikarstwa dla inteligencyi, by zespolić ją z wielkim strumieniem umysłowości w świecie kulturalnym. Potrzebę tego odczuwa bardzo wielu.

Niestety zamyka im usta iście chorobliwa drażliwość wobec najoględniejszego nawet słowa krytyki, — drażliwość, która nie pozwala ludziom zrozumieć, iż pobudka do krytycyzmu płynie często z najszlachetniejszych źródeł: z szczerego pragnienia naprawy, z [illegible] totnej życzliwości z p[illegible]

watelskiego. Głosy krytyki tłomaczą się zwykle nizkimi motywami osobistej natury i chybiają celu, śmiałków zaś, odważających się rzucić iskrę prawdy, stawia się pod pręgierz tej naszej chwiejnej, plotkarskiej opinii. Wskutek tego ocenia się u nas należycie różne przejawy beotczyzny tylko w kawiarniach i kółkach zamkniętych a do gazet nie przesiąka z tego ani kropla. Czemu się narażać? — mówi sobie niejeden i milczy. A tymczasem na niwie dziennikarskiej krzewią się chwasty, na których widok załamujesz ręce. Bo cóż powiedzieć, jeźli wyczytamy w dużym organie, że Zola to coś w rodzaju łajdaka, że Tołstoj to mierny talent, bez stylu i dobry dla starych bab, że komedye Szekspira to brednie, których nigdzie nie wystawiają itd. lub jeźli spotykamy co chwilę takie kwiatki stylu jak: „myśiny są".

Wobec takich herezyi ludzie oblekają się w obłok wygodnego, jowiszowskiego milczenia, bo hasło: „nie drażnić" ma w tym punkcie pełne zastosowanie a prawda chociażby przywdziana w szatę przyzwoitą, wznieca popłoch. Czując, że coś tam popsuło się w państwie duńskiem, lękamy się nawet widma samokrytycyzmu.

Nie wolno jednakże milczeć, gdy zastanowimy się nad przyczynami i skutkami złego i odkryjemy, że tłomaczy się to strasznem, lekkomyślnem marnowaniem i odpychaniem sił, które z wielkim pożytkiem mogły-by pracować na polu dziennikarskiem i przyczyniać się znakomicie do postępu w kulturalnym rozwoju społeczności, co pociąga za sobą zastraszające obniżenie poziomu umysłowego w Poznańskiem. Odbywa się na bruku naszym *hodowla miernot* na wielką skalę.

Aby bowiem uzyskać przystęp do stołu pańskiego, trzeba przedewszystkiem zapisać się do odnośnego bractwa, giąć się wpół, tańczyć jak zagrają, a więc wyrzec się wszystkich aspiracyi duchowych, zabijać w sobie indywidualność, skazywać się na filisterskie wegetowanie, usłać się na łożu Prokrusta i pozwolić przykroić na wzór i podobieństwo miernoty. Kto to potrafi a przytem żyje dosyć w zgodzie z ortografią, posiada wszystkie kwalifikacye na publicystę. Potrafi to miernota. Talent? Ostatecznie talent przy tem nie szkodzi, ale musi być mały, pokorny jak piesek, chodzić w cuglu jak koń dorożkarski i jeść z ręki naczelnej władzy cukier zarówno jak plewy.

Miernoty zatem przygarnia się i hoduje. One rozpościerają się w publicystyce, rej wodzą na zachwaszczonej niwie, wyrastają w oczach na lokalne wielkości, na filary, a hen, gdzieś po zaułkach kryją się zdolne, potężne umysłem i duchem jednostki, które na milczenie skazuje czysto poznański brak szacunku dla talentu, małoduszna stronniczość i parafiańska prywata. Mniejsza, że zdrowy rozsądek oraz wzgląd na dobro publiczne nakazują wydobyć ich z ukrycia i zużytkować, mniejsza, że poziom publicystyki obniża się z dnia na dzień, mniejsza, że zdolne siły mniej lub więcej bezproduktywnie ślęczą w ukryciu zamiast oddziaływać na ogół! Nie ma tu miejsca dla istot, co choć o cal wyrastają po nad przeciętnego filistra. Tu ziemia obiecana dla najpospolitszych zjadaczy chleba z gibkimi grzbietami.

— Nazwiska! nazwiska! — zawoła niejeden z czytelników.

Ciśnie się ich pod pióro niemało, lecz „nomina sunt odiosa". Zresztą czytelnicy sfery, do której głównie się zwracam, znają nazwiska tych zdolnych publicystów, co wywędrowali w przestronniejsze i cieplejsze kraje, i tych, co dla swych płodów ducha szukają gościnności w pismach zakordonowych albo zawiesili pióra na kołku. W tem gronie wypartych przez wszechmożną miernotę, spotykamy

Z TEATRU.

(„Niebezpieczny Zakład" (Miss Hobbs), komedya w 4-ch aktach p. Jerome K. Jerome — „Nasi Donżuani.")

Czasy wyłącznego królowania Francuzów w dziedzinie komedyi należą do przeszłości. Jeszcze przez większą część ubiegłego stulecia mieli oni jakby monopol na ten dział literackiej twórczości.

W dawniejszej komedyi francuzkiej XIX. wieku znajdują się też źródła wszelkich kierunków nowoczesnych. Wywarli oni wielki wpływ mianowicie na formę. Pomimo różnic wytworzonych przez lokalne warunki; jako to, rodzimą kulturę i piśmiennicze tradycye odczuwało się zawsze podkład francuzki. Typy, zawikłania, dowcipy nawet przypominały ojczyznę nadsekwańskich bulwarów.

W ostatnich dopiero czasach wystąpiły także i inne narody do walki o palmę na tem polu wyłącznie francuzkiej twórczości. Mianowicie Anglia sięga zuchwale po berło pierwszeństwa.

Myślano do niedawna, że tylko w Paryżu można dostać śmiechu i dowcipu w najlepszym gatunku. Tymczasem angielskie utwory najnowszej doby dowiodły, że i flegmatyczny John Bull umie się śmiać do rozpuku i potrafi na lekkiem rusztowaniu komedyi rozpiąć obrazy oryginalne, przedstawiające prawdę życia z jego śmiesznościami, powszedniemi kłopotami i komicznemi zawikłaniami.

Jak cała kultura angielska tak też i literatura wykazuje niezwykłą samodzielność, wynikającą z rozumnego czerpania z historycznego dorobku własnej kultury — z tradycyi. W literaturze występuje przytem na pierwszy plan fakt mocno różniący mieszkańców z jednej i drugiej strony kanału. Faktem tym: myśl głębsza i zdrowy podkład moralny, których to czynników tak często brak zupełny w lepszych nawet komedyach francuzkich.

Co prawda to nasza premiera sobotnia nadzwyczajnie także nie akcentuje tych dwóch czynników. I robi nawet wrażenie jak gdyby autor nie mógł się zdecydować, czy pisać komedyą obyczajową i omawiać w takich ramach ważną kwestyą emancypacyi kobiecej, czy też puścić cugle niezwykłemu humorowi i stworzyć coś na podobieństwo „Ciotki Karola'," owej klasycznej farsy, tak sympatycznej swym prawdziwym komizmem.

Niezdecydowanie to jednakże bynajmniej nie razi. Skoro tylko szczery śmiech sztuki zagłusza wszelkie rozumowania, skoro tylko rozwój akcyi jest logicznym i pełen życia, to wielkie

pierwszorzędnego naszego polityka z niezmierną erudycyą, umysłem głębokim analitycznym i piórem wyrobionem, kilku ekonomistów, samoistny umysł filozoficzny, wypróbowany talent dziennikarski. Znalazłby się może także znawca sztuki plastycznej, teatru i literat. Jakże inny obraz przedstawiała-by publicystyka poznańska, gdyby zaproszono w szeregi ten pokaźny zastęp? Ileż pereł umysłu i wiedzy wydobyli-by z siebie zapomniani pracownicy, gdyby otworzyło się przed nimi pole działania?

Dla uwypuklenia stosunków panujących na bruku poznańskim, rzućmy okiem na petersburski „Kraj“ i pisma warszawskie. Jeżeli „Kraj“ doszedł do ogromnej doskonałości techniczno-publicystycznej, zawdzięcza to temu, iż potrafił przygarnąć i zużytkować dzielne siły pisarskie bez względu na to, czy hołdują jego polityce.

Bojkot zdolności i hodowla miernot są ciężkim grzechem przeciwko jednostkom, przeciwko ogółowi i cywilizacyi. A rzeczy zaszły już tak daleko, że w Warszawie pisma nasze służą nieraz za przedmiot do drwin i sami na nie wzruszamy ramionami. W obliczu tych zastraszających stosunków podniosą się chyba głosy ze strony osób głębiej patrzących w społeczeństwo, a ci, co mają wpływ na stan i bieg piśmiennictwa, wzniosą się ponad wieżyce parafiańszczyzny i w imię dobra ogółu położą kres skandalicznej hodowli miernot.

Quis.

Ugodowe mieszczaństwo.

Zachowawcy oburzają się srodze, gdy pismo ludowe nazwie ich ugodowcami, wypierają się wszelkich tendencyi ugodowych, tłomacząc, że dzisiaj wobec tak bezwzględnego naporu niemczyzny i rządów wojowniczej hakaty nie może być mowy o ugodowości. Z pewnością w tej chwili nikt nie może myśleć na seryo o polityce ugodowej, *ale* jednak *skłonność* do niej przebija niejednokrotnie w życiu publicznem. Objawy tejże mieliśmy w wystąpach parlamentarnych ks. prałata Jażdżewskiego, w zapatrywaniu naszych „wielkich‘‘ organów na rozwój sprawy górnośląskiej, a ileż to razy spotykamy przebłyski ugodowości w stosunkach lokalnych! Wielu drży przed władzami, lęka się cienia ich niełaski i przechwala się, że dobrze są zapisani u góry. Dzieje się to naturalnie kosztem narodowości i poczucia obywatelskiego.

Ugodowość zatem tkwi we wielu bezkrwistych organizmach i to nie tylko pomiędzy inteligencyą, ale pomiędzy mieszczaństwem. Bardzo wielu Poznańczan należy zawsze jeszcze do wojackich związków, do „symultannych‘‘ stowarzyszeń, najczęściej dla pewnych materyalnych korzyści. A dokąd to prowadzi Polaków okazało się z okazyi odsłonięcia pomnika Bismarcka. Jest rzeczą prawie nie do uwierzenia, że znaleźli się Polacy, którzy mieli czoło w obliczu swych rodaków postępować w szeregach hakaty i składać wieńce z pruskiemi wstęgami przed pomnikiem największego wroga Polaków, który deptał wszystko co nam drogie i nauczał Niemców jak nienawidzić, jak prześladować, jak gnębić Polaków. Niejeden z Niemców nie miał ochoty prezentować się jako patentowany hakatysta, ale znaleźli tę smutną odwagę: kominiarz pan Konstanty Andrzejewski z Wodnej ulicy, piekarz p. Grześkowiak z Rycerskiej ulicy, p. Hoffman z Wildy, restaurator p. Piotrowski i zdun p. Wincenty Skalski.

Panowie ci zasłużyli, abyśmy nazwiska ich wyszczególnili i zanotowali sobie w pamięci,. Manifestacya lojalności i patryotyzmu opłaca się zwykle Niemcom na naszej ziemi bardzo dobrze. Zachodzi teraz pytanie, czy i ci panowie o polskich nazwiskach osiągnęli tą drogą materyalną korzyść. Wątpimy bardzo; jeżeli jednak zyskali, możemy ich zapewnić, że przez ten zysk nie powetowali ani w przybliżeniu tej ujmy moralnej, jaką sobie zrobili w oczach Polaków.

Równocześnie notują gazety inny objaw ugodowości wśród mieszczan, a mianowicie na zebraniu *chrześcijańskiego związku zawodowego*, gdzie w zapale stronniczym padały wprost oburzające słowa. Można-by oczekiwać, że polscy członkowie tego związ-

---

te zalety rozgrzeszają najzupełniej nie dość świadomy swego celu pomysł.

Z tych też powodów obiegła „Miss Hobbs‘‘ wszystkie europejskie sceny doznając wszędzie serdecznego przyjęcia, wywołując wszędzie huczne oklaski zadowolenia.

Poznajmy ową „Miss Hobbs.‘‘ Jest to młoda Angielka posiadająca obok bardzo wielu zalet jedną wadę, która się stała powodem i osią całej akcyi. Miss Hobbs jest emancypantką.

Utraciwszy wcześnie matkę była poddaną wpływowi nieżyjącego już również marsowego ojca. Fakt ten zrobił z niej istotę bardzo samodzielną, pragnącą wolności nie tylko dla siebie, lecz dla całego swego rodzaju. Pionierka ta kobiecej emancypacyi jest naturalnie zaciętą przeciwniczką rodu mężczyzn i wszelkich z nimi stosunków. Jak każda osoba energiczna nie zadowalnia się piękna miss własnem nabytem przekonaniem, lecz na wiarę swą stara się nawrócić i inne przedstawicielki upośledzonej swej płci. W tym celu buntuje dwa urocze stworzenia, przyjaciółki swoje. Z tych jedna (Bessy) już przekroczyła hymenu tajemniczy próg; druga (Millicent) ma to uczynić w najbliższym czasie. Chwile zaś dzielące ją jeszcze od tego faktu stara jej się uprzyjemnić bardzo miły chłopiec mister George Jessop. Chwiejne te istoty łatwo dają się przekonać namowom miss Hobbs i po małej scenie domowej wywołanej ad hoc opuszczają zrozpaczonego męża i narzeczonego. Nawet duch opiekuńczy tego młodego towarzystwa, wyjątkowa wśród jakich dziesięciu tysięcy ciotek, panna Susan Abbey, istota ze wszech miar godna szacunku i budząca wielką sympatyą — nie jest wstanie zapobiedz złemu. Z wrodzoną swą słodkością godzi obie strony, ale niestety bez skutku.

Skuteczniej w tym kierunku działa sam czas. Bardzo pięknie było wytrzymać w świecie wzniosłych teoryi emancypacyi i w pięknej willi panny Hobbs jakieś kilka godzin. Ale potem — to Bessy było brak męża, który przecież w gruncie rzeczy jest bardzo dobrym, a Millicent Georgen, który ją bądź co bądź bardziej zajmuje, jak najpiękniejsza książka „o prawach kobiety.‘‘

Ztęsknionym sercom przychodzi w pomoc usłużna ciocia Susan, ułatwiając schadzki męża z żoną i narzeczonego z narzeczoną w tajemnicy przed srogą miss Hobbs. — Rozpoczyna się teraz szereg najpocieszniejszych zawikłań, które potęguje przyjaciel męża Bessy, noszący to samo nazwisko. Między nim, a dwoma nieszczęśliwcami przychodzi do skutku zakład. Wolff Klingsearl, który przypadkowo poznał pannę Hobbs jako istotę wyposażoną bardzo wielu zaletami, ma ją w przeciągu czterech tygodni pocałować. Tak nieszczęśliwy małżonek jak

ku nigdy nie posuną się tak daleko, aby napadać na polski związek zawodowy jako polski. Przeciwnie, byłoby rzeczą naturalną, gdyby zachowali względem niego pewną względność dlatego, że jest polskim. Tymczasem okazuje się, że z chwilą, gdy robotnik odczepi się od zagrody ojczystej i wejdzie na ślizki grunt niemiecki czy międzynarodowy, zatraca poczucie narodowe, daje się porwać niemieckim prowodyrom. W czasie jednego przemówienia bowiem odzywały się raz po raz głosy: „my po chrześciańsku myślimy, nie po polsku!“ Wobec tak znaczących głosów śmiał jednak p. Marcinkowski wygłosić zdanie, że „nie chrześciański, lecz polski związek germanizuje“.

Z pewnością ks. ks. Stychel i Meyer oraz inni zwolennicy chrześciańskiego związku zawodowego poddadzą wobec tego swe zapatrywania gruntownej rewizyi. Poczytując zaś ks. prałata Stychla za Polaka, mamy tę pewność, iż skoro przekona się, że związek chrześciański jest rozsadnikiem germanizacyi wpośród naszych robotników, nie zdoła pogodzić z swem polskiem sumieniem dalszej propagandy na rzecz niemieckiego związku. Im prędzej nastąpi zwrot w stanowisku ks. prałata wobec związków, tem lepiej, bo z przebiegu wzmiankowanego zebrania wynieść musimy to silne przekonanie, że związek chrześcijański zagraża polskości *w najwyższym stopniu*. Już przez to, że członkowie tego związku przeciwstawiają się z taką zajadłością polskiemu związkowi, że antagonizm przybiera gorączkowe formy, zacierać się musi w niewyrobionych umysłach poczucie jedności z narodem i rwać nić zespalającą robotnika z pniem polskim. Wobec grożącego niebezpieczeństwa apelujemy do szczerego polskiego serca ks. prałata Stychla. Przed trybunałem gnieźnieńskim zaznaczył on dobitnie swój polski charakter; teraz nastręcza się wdzięczna sposobność do zadokumentowania tegoż czynem, któremu wszyscy przyklasnęlibyśmy serdecznie.

Gdy mowa o ugodowem mieszczaństwie, przypomina się smutna sprawa bractwa strzeleckiego w Poznaniu. Jakby nie znając panujących stosunków, jakby nie wzdrygając się przed bratanie się z polakożercami urządziło bractwo jubileusz na tak wielką skalę, że aż z Marchii zjechała się niemczyzna. Przez to oczywiście ściągnięto wzrok hakaty na siebie i, chociaż ugodowi *polscy* mieszczanie nadali uroczystości charakter *niemiecki*, a przemówienie prezesa jeżyło się od lojalnych i patryotyczno - pruskich zwrotów, postarano się o to, by żywioł niemiecki w bractwie miał przewagę. Operacya ta odbywa się właśnie; przeszło dwustu niemieckich urzędników zapisało sę do bractwa z wyższego rozkazu, a wpisowe, blizko 12 tys. marek zapłacono za nich z funduszu na „wzmocnienie niemczyzny.“ Z toni germańskiej zatem bractwo nie da się wydobyć, a ciężka wina za to spada na tych ślepych, ugodowych członków bractwa, którym się zachciało świetnego jubileuszu. Zabagnili bractwo czysto polskie, któremu król polski 650 lat temu nadał przywilej!

Czyż smutne te skutki ugodowości nie otworzą oczu naszemu mieszczaństwu? Czy wobec objawów małodusznego służalstwa przy uroczystości bismarckowskiej rumieniec wstydu nie okryje czoła Poznańczan? Czy nie wstąpi w nich inny duch?

Ordon.

Kronika przedwyborcza.

Przewidywaliśmy, że wiec w *Krotoszynie* urządzony w dzień *powszedni* przez partyzantów posła Jażdżewskiego wypadnie po ich myśli, tak jak przed wyborami do parlamentu. Nie omyliliśmy się; metoda urządzania wieców potajemnych okazuje się dla ugodowców jedynie odpowiednią i skuteczną. Czy przynosi im zaszczyt, czy wszyscy wyborcy w Krotoszynie piszą się na tę metodę to inna kwestya. Dość, że komitet krotoszyński przeprowadził cichaczem swoją listę kandydatów do sejmu, ugodowemu posłowi Jażdżewskiemu wyznaczając na niej pierwsze miejsce. Obok niego stawiono posła ludowego, dra A. Chłapowskiego i ks. radzcę Mojżykiewicza. W „Gońcu Wielkop.“ podniósł się głos z Krotoszyna przeciwko urządzaniu wieców tamtejszych w dni robocze, oraz przeciwko posłowi Jażdżewskiemu, lecz dotąd jeszcze głosy takie nie mają wpływu na krotoszyńską twierdzę ugodowców.

Twierdz tych coraz mniej. *Pleszew* nie należy do nich od dawna. Jakoż wiec, który się tam odbył dnia 11-go b. m. wypadł niekorzystnie dla zwolenników ks. prał. Jażdżewskiego,

---

i narzeczony wystawiają sobie w wyobraźni swej ową nieznaną im miss Hobbs, jako ztetryczałą, starą, brzydką pannę; w nieszczęściu swem cieszą się więc naprzód wygraną w postaci dobrego obiadu. — Tożsamość nazwiska nowo przybyłego prowadzi tymczasem do nowych powikłań. Miss Hobbs mniemając, że ma do czynienia z mężem Bessy pada ofiarą konceptu, który wymyśliła na ukazanie Bessy męża jej w najczarniejszych kolorach.

Powoli sprawa się wyjaśnia, przyczem niezrównane usługi oddaje ciotka Susan. Miss Hobbs poznaje jednostronność swych zasad. Zrozumienie to ułatwia jej w wysokim stopniu coraz to wyraźniejszy stan jej serca zwany — miłością. Ostatecznym rezultatem całej sztuki są trzy szczęśliwe pary.

Rolę tytułową odtworzyła p. Orwid z wielką precyzyą i dokładnością. Świetna jej gra w połączeniu z wszelkimi warunkami zewnętrznymi przyczyniła się do uświetnienia premiery.

Trudno taką samą pochwałę oddać grze p. Prochaski, jakkolwiek gra była poprawna, p. Prochaska nie czuł się dość swobodnym i pewnym w swej roli.

Wielkie uznanie należy się za to p. Kosmowskiej za wspaniałą wprost interpretacyą ciotki Susan.

P. Łącka w roli Bessy była najpyszniejszą w świecie młodą żonką.

Bardzo dobrym partnerem poprzednich był p. Fritsche, którego gra była nacechowaną wielkiem zrozumieniem i pełna dyskretnego humoru. P. Pawłowski oddał jak zwykle, rolę swą nadzwyczaj starannie i z wielką werwą.

* * *

W ubiegły wtorek dano na scenie naszej przy dość zapełnionym teatrze operetkę komiczną „Nasi Donżuani.“ Właściwie najstósowniejszem byłoby o sztuce tej powiedzieć to samo, co rzekł Krasicki o mieście Ryczywole. W takim steku bezsensów trudno mówić o treści. Sztuka cała była zestawieniem słabych konceptów, w których roiło się od nieprawdopodobieństw. Rzeczy takie wybacza się w tego rodzaju utworach, jeżeli dostaje się jako ekwiwalent szczery śmiech komizmu i dobre dowcipy — ale i tego nie było. Muzyka i śpiewy były jedyną okrasą wieczoru.

Mimo to artyści wywiązali się z zadania swego ogólnie dobrze. „Publika“ się śmiała do rozpuku zapewniając powodzenie sztuce w dnie powszednie na pewien jeszcze czas. Głośna ta wesołość naszej „publiki“ nie razi przynajmniej tak okropnie wobec sztuk tego pokroju, co „Nasi Donżuanie.“ Przy poważniejszych sztukach przeszkadza to nadzwyczaj.

Kaźm. R.

którego na liście całkiem pominięto. Przyjęto jednomyślnie listę: dr. A. Chłapowski, dr. W. Skarżyński i Fr. Morawski.

Inny wiec w tym okręgu wyborczym odbył się w *Koźminie* w zeszłą niedzielę, gdzie przyszło do silnego starcia pomiędzy obu stronnictwami. Widocznie forteca ugodowców poczyna się chwiać, bo dotychczas przyjmowano tam wszystko, co zalecał komitet oddany posłowi Jażdżewskiemu bezkrytycznie. Teraz wreszcie poczyna się budzić duch; p. mec. Czypicki stawił ks. prał. Jażdżewskiemu kilka pytań, a mianowicie dlaczego głosował za powiększeniem wojska i marynarki. Na to ks. prałat J. zasłonił się tem, że musiał głosować jak większość Koła uchwaliła, a solidarności w Kole nie mógł łamać. *Zapomniał* wszakże wyznać, że on to postarał się o to, iż Koło oświadczyło się za projektem rządowym i wyświadczyło rządowi wielką przysługę, za którą rzeczywiście nic nie otrzymało w nagrodę, ani obiecanych ustępstw co do języka polskiego, ani innych. Stwierdzamy, że poseł Jażdżewski nie miał odwagi przyznać się, iż był odpowiedzialnym za ten fatalny ugodowy akt Koła.

Następnie p. mec. Czypicki zapytał posła krotoszyńskiego, jak zapatruje się na wybór posłów Korfantego i Kulerskiego. Poseł J. odparł, iż poseł Korfanty będzie przyjętym do Koła, „jeżeli się zgodzi *całkowicie* na ustawy Koła.“ Z tego można wywnioskować, iż poseł Jażdżewski będzie się starał *poddać ścisłemu egzaminowi posła Korfantego* przed przyjęciem tegoż do Koła i zrobi wszystko w swej mocy, by mu drogę do Koła polskiego zagrodzić. Z tego między innemi stronnictwo demokratyczno-postępowe może się przekonać, jak niebezpieczną osobistością w Kole jest poseł Jażdżewski. Co się tyczy posła Kulerskiego, ks. prałat oświadczył się wręcz przeciwko przyjęciu tegoż do Koła.

Stronnicy ludowi stawili przez usta pana W. Wieczerskiego przeciwko liście komitetowej na kandydatów: p. dr. Skarżyńskiego, dr. A. Chłapowskiego i Morawskiego, lecz przy głosowaniu okazało się, że byli w mniejszości i tak przeszła lista: ks. dr. *Jażdżewski, A. Chłapowski,* radzca Motty.

Czwarty wiec w tym okręgu odbędzie się w *Jarocinie* dnia 25-go b. m. Nie wątpimy, że Jarocin nie pozostanie wtyle za Pleszewem i da nowy dowód swego uświadomienia. Jednakże wyborcy w Jarocinie powinni koniecznie na *pierwszem* miejscu stawić p. dr. Skarżyńskiego, a na drugiem dr. A.Chłapowskiego, przez co nie zrobią najmniejszej ujmy temu ostatniemu, a mogą przyczynić się do ostatecznego zwycięztwa dra W. Skarżyńskiego, który byłby bardzo pożądanym członkiem naszego Koła sejmowego. Od wyniku zebrania w Jarocinie będzie wiele zależało. Niechaj więc ludowi wyborcy tamtejsi staną na wyżynie oczekiwań.

Wiec przedwyborczy w *Poznaniu* — gdzie jak wiadomo nie mamy widoków przeprowadzenia naszego kandydata — zbędziemy kilku słowy. Poseł Brodnicki z Nieświastowic zdawał na nim sprawę z czynności Koła w sejmie, poczem jednomyślnie przyjęto listę komitetu: M. *Więckowski,* J. Paczkowski, Stefan Chociszewski. Następnie delegat poznański p. Karol Rzepecki omawiał trzy projekty zmiany regulaminu wyborczego i oświadczył się przeciwko tymże, ponieważ mają na celu ograniczenie wpływu ludu.

Na wiecu w *Czarnkowie* stawiano na kandydatów dr. Dziembowskiego, W. Łebińskiego i Kaźm. Szułdrzyńskiego z Prusinowa.

Większy interes budził wiec w *Gnieźnie,* gdzie mamy nadzieję przeprowadzić kandydata polskiego. Obok posła L. Grabskiego postawił tam komitet p. dr. Dziembowskiego, lecz podniosły się przeciw niemu liczne głosy i głosowanie wykazało upadek tego konserwatywnego kandydata. Ostatecznie przeszła lista ludowa: dyr. Leon *Grabski,* ks. prob. Piotrowicz, gospodarz Szturomowski z Żydowka.

Arcyburzliwy przebieg miał wiec w *Kościanie,* gdzie oba stronnictwa stoczyły walkę, konserwatyści za swymi wszędzie wysuwanymi kandydatami p. dr. Dziembowskim i ks. Jażdżewskim, a ludowcy za p. Morawskim. Na wiec zjechało trzech kandydatów pp. Morawski, Skarżyński i Dziembowski. Po przemówieniu pana Morawskiego ksiądz Kiełczewski zainterpelował go między innemi o to, czy pracował dawniej w „Czasie“ krakowskim jako szpieg tamtejszego stronnictwa zachowawczego, czy wysełał agitatora, który głosił, że p. M. płaci furmanki i konie rozstawne. Wzmiankowany agitator p. Desperak znalazł się na sali i zaprzeczył, jakoby był miał upoważnienie ze strony pana Morawskiego, który oświadczył to samo i zaręczał, iż nigdy w „Czasie“ nie pracował. Po burzliwych przejściach zabrał głos p. dr. Dziembowski i tłomaczył politykę ugodową Koła. Nie powiedział nic nowego, ale niefortunnie dla siebie zdemaskował się jako nieuleczalny ugodowiec, mówiąc, że tak jak dawniej i *dzisiaj* głosował-by za powiększeniem wojska, byle przez to uzyskać jakieś korzyści dla Polaków. A więc p. dr. D. należy do tych, których zawsze jeszcze rząd mógłby wziąść na lep czcych obiecanek!

Z kolei przemawiał dr. *Skarżyński* i jasno określił swe stanowisko polityczne. Ze znamienitego jego przemówienia podajemy kilka zdań zasługujących na szczególną uwagę:

My Polacy stoimy na *jednej* linii w obronnej pozycyi na szańcu, uzyskanym rękoma dziadów i rodziców naszych, na szańcu, którego dzieci nasze dalej bronić powinny. Chodzi tu o obronę naszych interesów najżywotniejszych, naszych skarbów najświętszych. Godzina jest uroczysta, a walka nie równa. Taką walkę prowadzić może tylko załoga *pod właściwem hasłem* i pod wodzą mężów właściwym duchem przejętych. Hasłem musi być nie tylko obrona, ale *i praca nad odrodzeniem wewnętrznem.* Cały lud powołać należy do broni, lecz jakich mu dowódzców potrzeba? Dziesięć lat temu znajdowaliśmy się w podobnem położeniu. A dowódzcom naszym w Berlinie zdawało się wówczas, że słyszą z obozu przeciwnego jakąś nową pobudkę od innych odmienną, jakąś inną melodyą, jakoby zapowiadającą pokój, lub co najmniej zawieszenie broni. Wówczas na pierwszy odgłos tej pobudki opuścili oni nasz szaniec obronny i wyszli naprzeciw wroga w jednem ręku z różdżką oliwną, w drugiem ze szpadą obwiniętą białemi chustkami. Niestety przekonali się, że to była melodya z jakiejś operetki i powrócili do szańca z zaciśniętemi pięściami — ale szlif nie złożyli w ręce nasze, *nie prosili o rozgrzeszenie tylko o potwierdzenie szarży.* Ludowcy starają się o nową załogę dla szańca i o nowych dowódzców. *Za odpowiednich dowódzców uważam nie tych, którzy się przesłyszeli, lecz tych, którzy chcą obrony do upadłego.*“

Gdy komitet zaproponował swą listę: dr. Dziembowski, dr. Skarzyński, ks. prał. Jażdzewski podniosły się krzyki z obu stron. Przy głosowaniu $^3/_4$ obecnych oświadczyło się *przeciwko* tej liście lecz zwolennicy pana dr. Dziembowskiego i polityki ustępstw wszczęli tak okropny harmider, że komisarz policyjny *rozwiązał zebranie.* Ugodowcy zatem poczynają rozbijać zebrania! Skłonni do zgody i ustępstw w Berlinie, nie chcą słuchać o ugodzie w — Kościanie. I tak w przyszłą niedzielę wyborcy raz jeszcze będą zmuszeni udać się na wiec.

Na wiecu w*Buku* przedstawiali się zebranym kandydaci pp. Morawski i dr Niegolewski. Przyjęto następują-

listę: dr. Niegolewski, Morawski, .. Skarzyński.

Niemały interes w społeczeństwie budził *wiec w Śremie,* gdyż w okręgu tym a zwłaszcza w Środzie i Wrześni ks. prał. Jaździewski i dr. Dziembowski z pomocą kilku obywateli starają się podminować stanowisko posła Głębockiego. Pozyskali dla swych zamiarów komitet w Środzie, który nie zamierza postawić wcale kandydatury posła G. W Śremie zepchnięto go na trzecie miejsce, na pierwsze miejsce stawiając dr. J. Szumana a na drugie ks. prał. Stychla. Przeciw temu porządkowi kandydatur zaopanował p. Zwierzchowski z Śremu i wniósł o postanowienie posła Gł. na pierwszem miejscu, ponieważ wskutek agitacyi żywiołów ugodowych kandydatura jego jest w niebezpieczeństwie. Zebranie przychyliło się do tego z zapałem.

Ks. prob. Wiśniewski oświadczywszy się stanowczo za posłem G. jako nieustraszonym mężem, przeczytał ustęp z „Gońca Wielk.“, w którym redakcya twierdzi, że po za agitacyą przeciw posłowi Gł. stoi wyspa tumska i zapytał czy p. G. solidaryzuje się z tym artykułem. Na to poseł G. odparł, że nie odpowiada za artykuły w gazetach, lecz twierdzenie to nie zawiera obrazy dla ks. Arcybiskupa, gdyż jako obywatel kraju ma równe prawo co inni oświadczyć się za lub przeciw jego lub czyjej innej kandydaturze.

W rezultacie okazało się, że Śrem mocno stoi przy swym pośle i umie go cenić należycie. Spodziewamy się że Środa i Września również nie pozwolą go sobie wydrzeć.

Do jakich rozmiarów doszła agitacya przeciwko posłowi Głębockiemu okazuje się z tego, iż w *Środzie* komitet pod przewodnictwem ks. Swidzińskiego powziął uchwałę 1) zwołać wiec na *piątek* 23-go b. m. na *11-tą godz.* z południa, 2) niedopuścić posła G. do zdania sprawozdania, 3) przedłożyć listę kandydatów: Woliński, ks. Stychel i dr. Szuman.

Przykład Krotoszyna podziałał na Środę. Tajne wiece w Krotoszynie udawały się po myśli ugodowców, dlaczego nie mieli by ugodowcy w Środzie chwycić się tej samej sztuczki? Więc zwołano zebranie na piątek i to na ranną godzinę. Przeciwko tej praktyce powinna wystąpić cała prasa ludowa zgodnie i stanowczo, a wyborcy zanieść protest do komitetu prowincyonalnego. Na listę powyższą ludowcy w Środzie nie będą mogli się zgodzić żadną miarą dlatego, że 1) p. mec. Woliński jest konserwatystą czystej wody, zwolennikiem wszechwładnych rządów szlachecko - klerykalnych i przeciwnikiem swobodnego rozwoju warstwy ludowej, 2) że nie wolno im opuścić wypróbowanego w boju, dzielnego posła Głębockiego, na którego nastają żywioły wsteczne. A wobec sztuczek ugodowców w Środzie tem większą należy rozwinąć energię w obronie znakomitego posła oraz w imię godności wyborców.

Wiec w *Inowrocławiu* został pod koniec *rozwiązany* przez inspektora policyi, który nie podał powodu. Na zebraniu tem wygłosił p. Królak z Szymborza odczyt o naszem położeniu politycznem, a następnie robotnik p. F. Marcinkowski rozwodził się nad rozmaitemi krzywdami.

W końcu przychodzi nam zanotować *wiec w Szamotułach,* w którym przyjaciel naszego pisma pisze nam co następuje: „Mieliśmy obawę, że nasz kandydat ludowy hr. Maciej Mielżyński nie będzie mógł przybyć na wiec, bo donosił komitetowi, że po ciężkiej chorobie czuje się osłabiony. Hr. M. prosił komitet, by odroczył wiec do przyszłej niedzieli, jednakże niezgodzono się na to. Co podano za powód nie wiem, ale możnaby przypuszczać, że arcykonserwatywny komitet byłby wołał *nie* widzieć ludowego kandydata w Szamotułach. Mimo to hr. Mielżyński stawił się na zebranie ku radości wyborców szamotulskich, między którymi jest od czasu wyborów do parlamentu bardzo popularnym.

Przewodniczył zebraniu hr. M. Kwilecki z Oporowa i udzielił głosu hrabiemu Mielżyńskiemu, który na wstępie oddał hołd ś. p. W. Łubieńskiemu. Mówca podniósł że można się nie godzić na wszystkie polityczne poglądy nieboszczyka, ale każdy przyzna, iż był on szlachetnym obywatelem i nie mieszał prywaty do spraw publicznych.

Pewna część społeczeństwa — mówił hr. M. w toku przemówienia jakby pod adresem komitetu szamotulskiego — nie rozumie lub nie chce rozumieć dzisiejszego ruchu. Partya ludowa, do której należę, ma wzniosłe szczytne hasło: rozbudzenie ducha patryotycznego w szerokich masach, powołanie warstw ludowych do działalności obywatelskiej oraz kategoryczne, odpowiadające godności narodowej stanowisko w Berlinie. Przez uświadomienie ludu, przez dotarcie do umysłu i serca jego pragniemy zbudować *nie warownie dla pojedyńczych ambicyi i prywaty lecz świątynie prawdziwej miłości ojczyzny* i godności obywatelskiej: Pragniemy by wszyscy stali się godnymi przestąpienia progu tej świątyni, w której palma pierwszeństwa przysługiwać winna nie tym, co powołują się tylko na sławę ojców lub inne względy, lecz tylko prawdziwej zasłudze, dzielności i poświęceniu chociażby w siermiędze.

Godność narodowa może iść w parze jedynie z pełnem stanowczości występowaniem wobec wroga. Zresztą za największe ustępstwa w Berlinie nie otrzymalibyśmy ani jednej milionowej części tego, co nam się słusznie należy. Nie wolno więc nikomu dla problematycznych korzyści demoralizować lud polski i korzyć się wobec niemczyzny. Twierdzą wprawdzie, że ugodowcy wymarli na zawsze. Czemu jednakże dochodzą nas nieraz niby zgrzyt żelaza po szkle głosy natchnione duchem ugodowości, czemu spotykamy zawsze jeszcze ludzi gotowych do ustępstw z zasad naszych i z praw naszych najświętszych. Wobec takich wołamy do ludu: baczność! Trzeba nam ich zwalczać, jak tępić trzeba zwątpienie pod maską przemądrzałej, rzekomej roztropności.

W końcu mówca podniósł, że świeżo stawiano w Poznaniu jakby na urągowisko pomnik największego wroga naszego. My z naszej strony winniśmy w sercu wszystkich naszych współbraci budować pomnik trwalszy od bronzu i granitu — pomnik miłości ojczyzny i poświęcenia.

Przemówienie przerywali słuchacze oklaskami i podziękowano hucznym aplauzem, poczem kościelny p. Białasik wygłosił jasną naukę o wyborach i zachęcał do agitacyi wyborczej bez względu na to, czy mamy czy nie mamy widoków przeprowadzenia posła polskiego.

P. Stroiński upomniał, aby urządzano jaknajliczniejsze wiece parafialne i lokalne, a z pomiędzy włościan i mieszczan odezwały się głosy, aby rozdawano elementarze. Komitet zaś przyrzekł, że zajmie się tą sprawą. Dotychczas tak mało robiono w tym kierunku, że mamy nadzieję, iż komitet przyrzeczenia swego jaknajsolenniej dotrzyma.

Gdy komitet zaproponował na kandydatów pp. Mielżyńskiego, ks. Jażdżewskiego i Szumana podniosły się głosy protestu. Ludowcy bowiem, dobrze zorganizowani i uświadomieni, rozumieli, że na liście ludowej nie może żadną miarą figurować poseł Jażdżewski. Natomiast zaproponowali listę: 1) Mielżyński, 2) Głębocki, 3) Czarliński. Przy głosowaniu nad pierwszą listą przeszedł p. Mielżyński jednogłośnie, za ks. Jażdżewskim oświadczyło się 2 (wyraźnie dwóch) wyborców z pośród 400 zgromadzonych i lista ludowców przeszła bez znacznej opozycyi.

Na tem kończę moje sprawozdanie i dziękuję „Pracy,“ że przy wyborach

do parlamentu wskazywała nam dobrą drogę i serdecznie zajęła się wyborami w naszym okręgu.‘‘

Z naszej strony wyrażamy uznanie wiecownikom w Szamotułach. Przy ostatnich wyborach prześcignęli nasze oczekiwania, a teraz, stawiając piękną listę kandydatów i występując z tak rozumnemi życzeniami dali nowy dowód niemałego uświadomienia narodowego.

Q.

Z Galicyi.

Sejm galicyjski, po krótkiej na szczęście przerwie, jaką spowodowało nagłe zwołanie wiedeńskiej Rady państwa, znów zabrał się do pracy i pracuje na pozór bardzo pilnie. Potworzyły się już wszystkie niemal komisye dla sprawozdań i wniosków, których liczba jest ogromna. Wskutek rzadkiego zwoływania sejmu w ubiegłych latach i krótkich jego sesyi, tyle namnożyło się zaległości, że dziś rzeczywiście nie wiadomo co najpierw wziąć w rękę, jakiej sprawie dać pierwszeństwo przed innemi bo dużo jest *równie* ważnych. I z tej przyczyny praca Sejmu w tej sesyi nie wydała jeszcze pochwytniejszych, ważniejszych rezultatów.

Sejm przeprowadził już dyskusyę nad sprawami ekonomicznemi kraju, w której poseł *Milewski* w świetnej zresztą mowie sięgnął aż do przykładu Anglii aby wykazać konieczność ożywienia tylko *przeworskiego* cukru, tego cukru, którego w naszych handlach jeszcze nabyć nie można, bo [illegible] go w *większej* ilości niema nawet w magazynach cukrowni przeworskich. Dalej przeprowadzono bardzo obszerną dyskusyę nad sprawami szkólnemi. Tu bardzo ostro ścierały się zdania między konserwatystami a postępowcami i demokratami, oraz między *Polakami* a *Rusinami*.

Ze sprawozdania komisyi o obecnym stanie *galicyjskich szkół ludowych* i seminaryów nauczycielskich dowiedziano się, że zawsye jeszcze mamy w Galicyi 3,387,000 *analfabetów*, to jest, że 56 procent ludności nie umie jeszcze ani czytać ani pisać. Referent poseł Władysław *L. Jaworski* (imiennik znanego prezesa Koła polskiego) — starał się przedstawić rzecz tak, jakoby postępy w szkolnictwie galicyjskiem i w oświacie ludu były bardzo pomyślne, nawet wprost radosne, jak na trudne stosunki galicyjskie. W rzeczywistości sprawa ta przedstawia się mniej korzystnie, co też opozycya sejmowa nie omieszkała wykazać. Ruski poseł ks. *Bohaczewski* wskazał na to, że w roku 1868 było w Galicyi szkół ludowych 2469, że od roku tego do dzisiaj, a więc w przeciągu 35 lat liczba szkół wzrosła tylko o *1637*. Od roku 1880 do 1900 liczba analfabetów zmniejszyła się wprawdzie z 77 na 56 procent, ale jak na lat dwadzieścia postęp to bardzo mały. Zawsze jeszcze jest w Galicyi 1062 gmin, nie posiadających wcale szkoły ludowej. Winą tego smutnego niedomagania szkolnictwa jest z jednej strony *bieda* w kraju, z drugiej niska płaca *nauczycieli i nauczycielek*, która bynajmniej nie zachęca młodzieży do poświęcania się temu zaszczytnemu wprawdzie, lecz mozolnemu zarazem zawodowi.

W dyskusyi nad sprawami szkolnemi znajomością rzeczy odznaczała się zwłaszcza mowa posła *Tomaszewskiego*, który sam jest dyrektorem szkoły. Żądał on wydatniejszej pomocy krajowej i rządowej w udzielaniu bezprocentowych pożyczek gminom na budowę szkół, nadto polepszenia ich materyalnego bytu i złagodzenia zbyt ostrej dyscypliny urzędowej, jaka ciąży nad nimi i nieraz zdaje ich zupełnie na łaskę lub niełaskę inspektorów szkolnych. Dalej krytykował mówca plan nauk, przyczem podniósł, że plan naukowy żąda dziś w szkołach galicyjskich takiej znajomości języka niemieckiego, *„jakiej z pewnością nie posiada żaden hakatysta.“* Taką naukę języka niemieckiego uważa mówca słusznie za prawdziwą plagę i wykazuje jej bezcelowość w Galicyi.

Niestety Sejm a raczej konserwatywna jego większość okazała się bardzo nieżyczliwą względem słusznego wniosku posła *Tomaszewskiego*, żądającego polepszenia bytu nauczycieli tak pod materyalnym, jak i *prawnym* względem. Na wniosek posła *Bobrzyńskiego* byłego szefa szkolnictwa galicyjskiego, sejm odroczył załatwienie tej sprawy do następnej sesyi sejmowej. Ponieważ zaś nikt nie wie, kiedy rząd raczy znów zwołać sejm na dłuższą sesyę, przeto to odroczenie wniosku Tomaszewskiego równa się odłożeniu go *„ad calendas graecas.“* A potem panowie konserwatyści dziwią się, że nauczyciele są rozgoryczeni, niechętni i że tak mało kandydatów garnie się do stanu nauczycielskiego! Nie odmawiamy konserwatystom galicyjskim dobrej woli i dobrych chęci, ale to pewna, że braknie im nieraz zrozumienia elementarnych wprost postulatów współczesnej kultury.

Spór między *Rusinami a Polakami* powstał znów o *gimnazyum ruskie w Stanisławowie*. Rusini żądają stanowczo założenia takiego gimnazyum w tem mieście, a pewnej słuszności ich żądaniu odmówić nie można. Żądanie posłów ruskich popiera także ks. metropolita *Szeptycki*. Pragnąc wykazać bezpodstawność twierdzenia ze strony polskiej, iż dla takiego gimnazyum brakłoby po prostu ruskich sił nauczycielskich, ks. metropolita wniósł interpelacyą z zapytaniem, *ilu* nauczycieli gimnazyalnych *ruskich* pracuje przy gimnazyach *polskich* w kraju. Jeźli odpowiedź rządu wypadnie na korzyść Rusinów, w takim razie odpadnie jeden z głównych motywów przeciwnej opinii komisyi sejmowej. Rusini do tego żądania swego taką przywięzują wagę, że grożą nawet obstrukcyą względnie *opuszczeniem sejmu* na wypadek, gdyby sejm odrzucić miał ich wniosek. Po za temi sprawami obrady sejmu toczyły się dość spokojnie i nie przedstawiają dla dalszych widzów większego interesu. Dla tego dziś urywam na tych szczegółach.

Na zakończenie donoszę, że przed dwoma tygodniami odsłonięty został w miasteczku *Grodku* pomnik pogromcy Krzyżaków, Władysława *Jagiełły*. Niech to wam posłuży za dowód, że i galicyjskie społeczeństwo uważa za potrzebne w obecnych czasach czcić *tych* właśnie bohaterów narodowych, którzy najskuteczniej chronili nas przed nawałą *niemiecką*.

* * *

Już po napisaniu powyższej korespondencyi zaszedł we Lwowie wypadek, który rzuca jaskrawe światło na stosunki polsko-ruskie; spieszę zakomunikować go wam. Młodzież uniwersytecka *ruska* wystosowała niedawno do senatu uniwersyteckiego memoryał, w którym domagała się nowych nadzwyczajnych *prerogatyw* dla języka ruskiego, prerogatyw sprzeciwiających się wprost statutowi uniwersytetu, jako instytucyi naukowej polskiej. Na ten memoryał senat dotychczas nie dał odpowiedzi. Rusini postanowili się więc zemścić. I gdy w ubiegły piątek nowowybrany rektor uniwersytetu ks. prof. *Fijałek* rozpoczął w uniwersytecie swój wykład, wpadła do sali banda studentów ruskich i obrzuciła ks. rektora zgniłemi jajami, które powalały jego rewerendę. Słuchacze polscy ochronili rektora przed dalszemi zniewagami, a napastnicy uznali za stósowne po tym bohaterskim czynie, zniknąć z widowni. Nie można się dziwić, że gdy wieść o tem rozbiegła się wśród słuchaczy polskich, ogarnęło ich wielkie wzburzenie. Zebrawszy się tłumnie nie wpuścili żadnego studenta ruskiego do uniwersytetu, aż wreszcie senat wydał wyrok w tej sprawie, skazujący *siedmiu napastników na ks. rektora na wydalenie z uniwersytetu.*

Zajście to przyszło bardzo nie w

porę *posłom ruskim*. Spodziewali się oni, że przynajmniej część posłów polskich w Sejmie poprze ich wniosek o założenie gimnazyum ruskiego w *Stanisławowie*. Teraz sami czują, że stracili resztę sympatyi dla tego wniosku i wogóle dla swoich narodowych postulatów.

Ale wypadek ten dowodzi, na jakie przykrości narażeni są Polacy we Lwowie i wogóle we wschodniej Galicyi, dalej, z jaką bezczelną butą i brutalnością występują przeciwko nim Rusini. A stało się to niemal nazajutrz po wydaniu przez namiestnictwo nowego reskryptu do magistratu lwowskiego, nakazującego mu, ażeby w stosunkach urzędowych z ruskiemi Towarzystwami używał języka *ruskiego*. Rozporządzenie to nie zgadza się, nawiasowo dodając — z statutem miejskim, według którego językiem magistratu jest język *polski*.

W tym tygodniu rozpocznie się w Sejmie *walna dyskusya budżetowa*. Przyszła korespondencya moja będzie więc zapewne bardziej zajmująca.

Krak.

Z TYGODNIA.

Międzynarodowa *socyalna demokracya* tryumfuje. Po raz pierwszy bowiem także w międzynarodowej czyli tak zwanej wielkiej polityce odniosła sukces. Wprawdzie sukces to szczególnego rodzaju, ale zawsze sukces. Donosiliśmy już w poprzednich „przeglądach“ naszych, że przywódzcy *włoskiej* socyalnej demokracyi żywo agitują przeciwko zapowiedzianej wizycie cara Mikołaja w *Rzymie*. Zaraz na pierwszą wieść o tej wizycie, jeden z posłów socyalistycznych w parlamencie włoskim, *Morgari*, wniósł interpelacyą treści bardzo niepochlebnej dla cara i Rosyi urzędowej. W dyskusyi nad tą interpelacyą niezmiernie ostro krytykowano absolutyzm carski i obecne rządy w Rosyi; czego zaś tam nie wypowiedziano, to zaznaczono na licznych zebraniach publicznych. Przedstawiano rzecz tak, jakoby wstydem i hańbą było dla wolnego narodu włoskiego płaszczyć się przed monarchą, w którego państwie miliony ludu znosić muszą najokrutniejszy ucisk. W końcu uchwalono przywitać cara hałaśliwemi demonstacyami, a przedewszystkiem świstem tysiąca przeraźliwych gwizdawek.

Rząd włoski wobec tych przygotowań do demonstracyi anticarskich zachowywał się biernie, jak gdyby nie przywiązywał do nich większego znaczenia. Za to w *Petersburgu* i *Darmstadzie*, gdzie obecnie przebywa para carska, bacznie jest śledzona. Aby się przekonać, czy rzeczywiście grozi carowi jakowa nieprzyjemność w Rzymie ze strony ulicy albo może nawet coś *gorszego*, wysłano do wiecznego miasta cały zastęp tajnej policyi, a w końcu jej naczelnika, pułkownika *Łapuchina*. Sprawozdanie tego dygnitarza policyjnego brzmiało widocznie niekorzystnie. W chwili bowiem, gdy włoska para królewska zabierała się do podróży do *Francyi*, zjawił się na dworze włoskim adjutant carski, książę *Dołgoruki* z własnoręcznym listem cara w którym władzca Rosyi z ubolewaniem oznajmił, że „z rozmaitych przyczyn“ zniewolony jest „odłożyć wizytę swą na później.“ Innemi słowy włoska socyalna demokracya rzeczywiście *spłoszyła* cara i dopięła zamierzonego celu.

Wiadomość o tem wywołała w całym świecie politycznym niemałą sensacyą. Po raz pierwszy bowiem zdarza się, że monarcha potężnego państwa cofa się i zmienia swe postanowienie pod grozą demonstracyi socyalistycznych. We Włoszech zaś, to jest w kołach *nie*socyalistycznych, a tworzą oni i tam jeszcze ogromną większość społeczeństwa, zapanowała przykra konsternacya, Włosi i tak już nie mają w świecie zbyt dobrej sławy. Oni to dostarczyli przecie w ostatnich latach najpokaźniejszych króło- i przezydentobójców. W tym wypadku zgrzeszono ciężko przeciwko świętemu prawu gościnności. To też urzędowa „burżoazyjno liberalna„ i konserwatywna prasa włoska gwałtownie uderzyła na socyalistów. Równocześnie podniosła ciężkie zarzuty przeciwko obecnemu gabinetowi włoskiemu i przeciwko *tajnej policyi rosyjskiej*. Ostatniej starano się wykazać, że jest zbyt mało obeznana z życiem wolnych narodów, że patrząc na rozmaite objawy ze stanowiska bezwzględnej wszechwładzy policyjnej, przesadne znaczenie przywięzywała do owych zapowiedzianych demonstracyi, własny rząd zaś oskarza ta część prasy włoskiej o zbytnią słabość wobec niesfornych żywiołów socyalistycznych. Słabość ta naraziła od teraz Włochy na przykre upokorzenie i zniesławiła imię włoskie przed światem.

To pewna, że wypadek ten nie poprawił reputacyi Włochów, a także, że nie przyczyni on się do wzmocnienia przyjacielskich stosunków między *Włochami a Rosyą*. Zdaje się też nie ulegać wątpliwości, że ofiarą tej niezwykłej sprawy padnie obecny gabinet włoski *Zanardellego*. Jakąś przecie satysfakcyą monarchia włoska dać musi zrażonemu carowi i jego państwu. Można też być wrogiem caratu i absolutyzmu, a jednak nie pochwalać taktyki która bądź co bądź nie zasługuje na miano przyzwoitej, a co więcej, jes[t] politycznie niemądrą. To też i socya[]liści włoscy może jeszcze drogo przy[]płacą ten chwilowy swój tryumf.

Swoją drogą dotknął on niemil[e] także *Stolicę* św.. Jak wiadomo, zamie[]rzał car przy tej sposobności odwiedzi[ć] także Ojca św., słusznie tedy wskazują pisma watykańskie na ten wypadek, ja[]ko na dowód, że Papieże naprawdę s[ą] więźniami państwa włoskiego. Lada wy[]bryk rewolucyjnych żywiołów w Rzymie uniemożliwić bowiem może i *Ojca św.* osobiste zetknięcie się z monarchami państwa, z którymi Stolica św. w inte[]resie ich katolickich obywateli pragnie utrzymać jaknajlepsze stosunki.

Najboleśniej naturalnie dotknęło t[o] odwołanie carskiej wizyty włoską *par[ę] królewską*. Wywołanego nim przykreg[o] uczucia niemocy wobec prądów rewolu[]cyjnych w kraju nie usunęło zapewn[e] nawet *niezmiernie owacyjne i gościnn[e] przyjęcie*, jakiego doznała w następnych dniach w *Paryżu*. Już to przyzna[ć] trzeba francuzkim socyalistom, że s[ą] „lepiej wychowani,“ niż ich towarzysz[e] w innych krajach, że prawo gościnno[]ści zawsze szanują. Podczas wizyt[y] pary włoskiej w Paryżu, gdzie przeci[eż] nie braknie nawet anarchistów, nie za[]szło nic, coby zrazić mogło „dostojnych gości.“ Urzędowe sfery francuzkie wy[]siłały się zaś wprost na okazywani[e] gościom nadzwyczajnej uprzejmości [i] serdeczności. Ta wizyta włoskiej par[y] królewskiej w Rzymie ma ważne zna[]czenie *polityczne*. Już od lat kilku do[]strzedz było można, że Włochy oboję[]tnieją coraz bardziej dla *trójprzymierza* a zwracają się z swą przyjaźnią k[u] *Francyi*, z którą też, co prawda, łącz[ą] je ważne interesy polityczne i ekono[]miczne. Obecnie zawarte zostało mi[ę]dzy obu temi państwami nawet fakty[]czne *przymierze*. Ogranicza się ono wprawdzie tylko do *kilku* spraw, ni[e] sprzeciwiających się celom trójprzymi[e]rza, ale bądź jak bądź istnieje i łatw[o] z niego wyłonić się może *szerszy* ja[ki] sojusz. To też prasa *niemiecka* z ni[e]pokojem śledziła przebieg uroczystoś[ci] paryzkich i rozpisuje się o nich z w[i]docznym przekąsem.

I dziwić się niezadowoleniu temu n[ie] można. Urok potęgi niemieckiej a te[m] samem wartości ich przyjaźni dziwn[ie] szybko zmaleje i Niemcy tracą jedneg[o] przyjaciela i sprzymierzeńca po drugi[m]. I mimo trójprzymierza już dziś właściw[ie] są odosobnione.

W *Austryi* i *Macedonii* i na dalek[im] wschodzie *azyatyckim* nic się nie zm[ie]niło w ubiegłym tygodniu; sytuacya j[]

się wszędzie tam taka sama, jak ją przedstawiliśmy w przeszłym naszym przeglądzie,

I w *Niemczech* w sprawach wewnętrznych żadna nie zaszła zmiana. Słychać wprawdzie, że stanowisko hr. *Bülowa* nie ma być już tak pewnem, jak *było dawniej*, ale na razie to tylko pogłoski. Jeżli nastąpią w łonie rządu jakie zmiany, to zapewne dopiero po wyborach do sejmu. Dla nas zmiany takie wogóle nie mają wielkiego znaczenia. Wobec rozpanoszonego obecnie w Niemczech prądu hakatystycznego jednego ministra hakatystę zastąpić może tylko drugi tej samej barwy. Wszyscy z równą zaciętością godzić będą na nasz byt. Rzeczą naszą jest zaś i pozostanie zapewne długo jeszcze: *bronić się i nie dać się.*

M. O.

Przegląd prasy.

W sprawie *uczęszczania kleryków na wykłady w hakatystycznej akademii poznańskiej* — które jest rzeczą *postanowioną*, jak już zapewnialiśmy w zeszłym tygodniu — rozpisały się poznańskie pisma. *„Kur. Pozn.“* bagatelizuje całą sprawę i, chcąc wpierw przysposobić opinię na ten bolesny fakt, pisze o uczęszczaniu kleryków na akademią tylko jako o fakcie możliwym. *„Dzien. Pozn.“* milczy, zajmuje wygodne stanowisko bierno-wyczekujące, lecz wnosząc z tego, że powtórzył dobrze uchwyconą pierwszą o tem wiadomość za „Wielkopolaninem,“ zda się widzieć sprawę we właściwem świetle. *„Postęp“* nie zdaje sobie sprawy z doniosłości faktycznej i zasadniczej i nie upatruje w tem tak *wielkiego* złego dlatego że... istnieją gorsze zakusy germanizacyjne. *„Wielkopolanin“* przycichł dyplomatycznie i tak jedynie dwa pozostałe dzienniki rozpatrują rzecz z narodowego stanowiska i podnoszą, że posłowie ludowi dadzą społeczeństwu rękojmię, iż będą rozumnie pojmowali granice praw Boskich i kompetencyi Kościoła a także i to, gdzie interesy naszego Kościoła przy dzisiejszym systemie pruskim krzyżują się z interesami naszej narodowości. *„Goniec Wielkop.“* jest wyrazem popularnych i naturalnych uczuć, pisząc, *że młodzież duchowna nie powinna przestępować proga akademii.*

„Każde ustępstwo — czytamy w artykule „Gońca — to jakby nowy policzek rzucony już nie nam samym, ale [illegible] całej, całej Słowiańszczyźnie, która się zarumienić musi na płaszczenie się, na uległość tam, gdzie twardo stać należy.

„Na jaką to nazwę zasługiwałoby uczęszczanie kleryków Polaków na wykłady w akademii, która ma na celu podniesienie i krzewienie ducha niemieckiego w tem mieście, w którem spoczywają zwłoki pierwszego chrześcijańskiego króla polskiego Mieczysława I, wiekopomnego zwycięzcy z pod Psiego-Pola i obrońcy całej słowiańszczyzny zachodniej, Bolesława Wielkiego, w tem mieście, które się szczyci mianem grodu Przemysława, zamordowanego przez najemników brandenburskich.

„Ku zdobyciu wiedzy, młodzież nasza idzie na niemieckie uniwersytety wprawdzie — ale te zakłady w Niemczech nie noszą tego znamienia, jakie nosić ma akademia w Poznaniu. Zakład zaś naukowy, mający wyraźnie cel polityczny na oku, nie jest w dosłownem znaczeniu instytucyą naukową, lecz instytucyą służącą za środek do celu germanizacyjnego.

„Wiemy dobrze, cośmy sobie winni, a co chrześcijaństwu. Wiemy, że ojcowie nasi walcząc na Wschodzie z półksiężycem i gromiąc go, tu na zachodzie nieopatrznie ufali hydrze, noszącej krzyż na piersiach.“

„Ten błąd powinien nam zawsze stać przed oczyma, abyśmy snać sami na sobie nie popełniali „samobójstwa.“

„Od władzy zaś naszej kościelnej mamy prawo żądać, aby stała na straży najświętszych naszych dóbr duchownych i strzegła każdego z nas, a zwłaszcza młodzież duchowną, aby ta na duszy swej szkody nie poniosła.“

„Pos. Tag.“ podając artykuł „Wielkopolanina“ dodaje z całą pewnością, że „o ustępstwach i przyrzeczeniach jakichś dla kleryków ze strony władz akademickich *nie ma mowy.*“

Pewien korespondent *„Postępu“* obawia się, że uczęszczanie kleryków na wykłady jest wstępem do — zniesienia seminaryum. Przypuszcza bowiem, że za rok lub dwa zaprowadzone zostaną wykłady teologii dla kleryków a wtedy seminaryum zostanie rozwiązanem przez ks. arcybiskupa lub też zamknięte przez rząd królewski.

„Prelekcye w akademii dla kleryków to pierwszy stopień, fakultet teologiczny drugi, a księża germanizatorzy trzeci. Kto na to oczy zamyka, temu brak godności narodowej. Już mamy Taschów, Krzesińskich i innych, a niebawem będzie ich więcej. Kto wie, czy opat benedyktyński w Monte Cassino na naszej stolicy arcybiskupiej nie jest tylko nieznaną nazwą dla znanych zamiarów?“

„Pos. Ztg.“ w artykule p. t. „Praca kulturalna na Wschodzie“ tak pisze w tej materyi:

„Tak samo jak w Poznaniu, odzywały się francuskie pisma klerykalne w Alzacyi i Lotaryngii, skoro tam pojawiła się po raz pierwszy wiadomość, że w Strassburgu ma być utworzony katolicki fakultet teologiczny i na życzenie rządu klerycy strassburgskiego seminaryum duchownego mają chodzić na prelekcye tego fakultetu. Lecz burza ustała wkrótce, wyższe duchowieństwo przypomniało sobie obowiązek, *że w niemieckim kraju należy wychowywać niemieckich księży*, którzy owieczkom swoim powinni wpajać posłuszeństwo do władzy, wyższe duchowieństwo poznało, że w interesie Kościoła i ludności dyecezyi leży, aby ludność ta pogodziła się z rządem i uznała dane stosunki.

„Nie najmniejszą zasługę w tym pomyślnym rozwoju stosunków w Alzacyi i Lotaryngii miał biskup Benzler z Metzu, a przez to wytworzył się na kresach zachodnich Rzeszy niemieckiej po zniesieniu praw wyjątkowych, stan polityczny, z którego mogą być zadowoleni, rząd Kościół i lud.

„Czyżby „na wschodzie“ podobny rozwój nie miał być możliwy? Jest on bezwarunkowo potrzebny, a tem samem musi także być możliwym. Przyznać jednak trzeba, że jeden główny warunek nie dopisuje na razie, a warunkiem tym jest taki Benzler na tronie arcybiskupim w Poznaniu i dlatego cała kwestya *na razie* nie jest jeszcze palącą. Ale jeżeli warunek ten w blizkim czasie się spełni, natenczas dalsze ukształtowanie tej sprawy musi tutaj dokonać się w taki sam sposób, jak w Alzacyi i Lotaryngii. Polacy są poddanymi pruskimi i dlatego duchowieństwo „na wschodzie“ ma obowiązek wychowywać swoje owieczki na wiernych obywateli państwa.“

Walka Polaków z germanizacyą przez kościół przybiera na zachodzie coraz szersze rozmiary. Nietylko na G. Śląsku, nietylko na Warmii, lecz, jak czytelnikom naszym dobrze wiadomo, na zachodzie księża niemieccy nadużywają swej powagi kapłańskiej, by wydrzeć im poczucie narodowo-polskie i zniewolić do głosowania na kandydatów stronnictwa centrowego. Jak w Bitterfeldzie, w Saksonii, mają Polacy w Ober Stirum, w Westfalii, w swym proboszczu wroga polskości, którem umężnie stawiają czoło w obronie swych skarbów narodowych. Na jakie uchybienia i prześladowania są wystawieni z jego strony, okazuje się z uchwały zapadłej tamże na wiecu. Uchwała ta brzmi:

„Zebrani na wiecu w Ober-Stirum Polacy ubolewają, że miejscowy ks. proboszcz Bergmann bardzo nieprzychylnie traktuje Polaków, nie na równi z niemieckimi katolikami.

Protestujemy przeciwko twierdzeniu ks. proboszcza Bergmanna, jakoby Polacy, nie głosujący na kandydata centrowego, lecz na polskiego, byli niekatolikami i socyalistami.

„Żądanie ks. proboszcza Bergmanna aby niepolityczne Towarzystwo św. Antoniego zmieniło swe ustawy wyłącznie na korzyść centrową i uważało się za poddane tejże partyi, ganimy. Gardzimy także łaską ks. proboszcza, którą nam pod warunkiem ofiarował, że przestaniemy czytywać „Wiarusa Polskiego“, którego niesłusznie nazywa pismem, popierającem socyalistów.“

Wychodźców naszych w *Ameryce* zażywających tam wolności całkiem nieznanej na lądzie stałym Europy, spotkał srogi zawód ze strony Ojca św. Starali się oni o to, aby konsystorz zamianował kilku biskupów polskich tamże, a „*Kur. Warsz.* odbiera wiadomość z Rzymu, że kongregacya „De Propaganda fide“ załatwiła sprawę tę *nieprzychylnie.*

„Wiadomość ta pisze organ warszawski — sprawi w całej Polsce wrażenie przykre, a wywrzeć może opłakane następstwa wśród dwumilionowej ludności polskiej w Stanach Zjednoczonych.

„Utworzenie dla niej kilku wikaryatów apostolskich ze względu na niższy stopień tego rządu w hierarchii kościelnej i tem samem zawiślejszy, węższy rozmiar jego władzy, nie zaspokaja uprawnionych życzeń tej ludności, która uprzytomnia sobie, że żywioł niemiecki, osiadły w Stanach, a liczący trzy miliony katolików, posiada dwóch arcybiskupów i trzynastu biskupów.

„Boimy się, czy katolicy amerykańscy wyodrębnieni ze starego świata katolickiego i jego form, umiłowanych przez pokolenia, zdobędą się w przyszłości na tyle sentymentalizmu, aby pomimo odpornego zachowania się „Propagandy“ wobec uprawnionych ich życzeń zechcieli trwać niewzruszenie przy starych godłach i formach wiary, a nie ulegli ponętom szerzących się tam już dzisiaj groźnie sekt, na których czele stoi taki np. „biskup“ starokatolicki Kozłowski w Chicago, albo apostoł Husa, ksiądz czy pan Hodur z Pensylwanii.

„Ojciec św., który w pierwszej encyklice swojej dowiódł, że tylko Kościół w swojej idealnej abstrakcyi, nie zaś stosunek jego do aktualności politycznych stanowić będzie wytyczne hasło jego pontyfikatu, zapewne uchwały kongregacyi „De Propagande fide“ nie zechce uważać za ostatnie słowo Stolicy apostolskiej w tej ważnej dla katolicyzmu sprawie, na której dnie może tkwić odszczepieństwo.“

Wbrew wiadomości „Kur. Warsz.“ odbiera „*Dzien. Pozn.*“ wieść z Rzymu że sprawy polskich biskupów w Ameryce propaganda nie może rozstrzygnąć przed styczniem. *Redakcya.*

Głosy od Przyjaciół.

Z Kujaw, dnia 20 października 1903.

Walne zebranie wyborcze w Inowrocławiu zostało przez policyą rozwiązane bez żadnego powodu. Początek zebrania był bardzo poważny. Zebranie zagaił p. dyr. Grosman o godz. $3^1/_2$ p. poł. na sali Hotelu Basta. — Po utworzeniu biura udzielił przew. głosu p. Ziętarze z Szadłowic, który wygłosił piękną naukę o wyborach do sejmu, poczem przemawiało kilku panów w sprawie wyborów do sejmu. Następnie bardzo piękny odczyt wygłosił p. Królak, gospodarz z Szymborza. Obu mówców publiczność słuchała z natężoną uwagą i nagradzała oklaskami, z kolei zabrał głos robotnik p. Fr. Marcinkowski z Janikowa, który w wymownych słowach przedstawił nasze krzywdy ze strony rządu. Donośny głos mówcy niepodobał się widocznie inspektorowi policyjnemu, który zebranie dozorował. Gdy mówca rozwodził się o urzędach stanu cywilnego i podniósł, iż zamiast polskiego imienia władze zapisują niemieckie, mówiąc: tak jest jakby ojciec niemiał prawa swojemu dziecku dać imienia „i to się dzieje w państwie wychwalonej cywilizacyi i kultury!“ przyczem sala zatrzęsła się od okrzyków i oklasków, wtenczas przystąpił do niego inspektor policyi i odezwał się w te słowa: „Ich fordere Sie auf, dass Sie mit anderem Ton sprechen dass das Publikum Ihnen keine Aplause macht“. Wobec tego przewodniczący poprosił mówcę aby nie mówił tak głośno a publiczność aby oklasków nie dawała; p. Marcinkowski, mówiąc spokojnie dalej, wypowiedział te słowa: Czy my mamy wątpić w własne siły? Nie; my przez te krzywdy wyrabiamy się tylko na dobrych katolików i dzielnych Polaków! Przy tych słowach inspektor policyjny rozwiązał zebranie. — Na pytanie przewod. czy ma jaki powód do rozwiązania zebrania, odpowiedział *że nie.* — Pomimo to iż rozwiązanie wieca nastąpiło nagle i niespodziewanie, publiczność rozeszła się w jaknajlepszym porządku.

wierny abonent „Pracy“.
Władysław Marcinkowski.

Charlottenburg p. Berlinem.

W niedzielę 20 września obchodziło Tow. polskich ogrodników Charlottenburga i okolicy 8 rocznicę założenia. Uroczystość zagaił p. Musielak prezes tego Tow., witając 13 przybyłych delegacyi i gości. Trzy Tow. powinszowały listownie. Sprawozdanie oznajmiło nam, iż jeszcze dużo ogrodników jest, którzy powiedzieć można z opieszałości nie poczuwają się stanąć pod zawodowym znakiem do wspólnej pracy, dla dobra społeczeństwa i swego. Słusznie też niejedni delegaci występowali przeciw takim ospałym ludziom i tym, którzy nawet wolą po niemieckich Tow. chodzić a swoje narodowe obowiązki zaniedbują. — Pan Musielak tłomaczył, iż Tow. nie posiada wielu członków zasiedziałych jak inne Tow., bo ogrodnik jak ptak przelotny wiosną lub jesienią przychodzi, a po upływie niejakiego czasu znów się przenosi do Erfurtu, Drezna, Lipska, Kwedlinburga, Stutgardu itd, by się w specyalnych gałęziach wykształcić, co dla naszych kolegów jest niezbędnem.

Po przemówieniu odbyły się deklamacye dorosłych i dzieci. Doskonale udało się Okrężne czyli wieniec na dworze polskim z lepszych czasów. Widziałem jak rodzice posunęli naprzód swe dzieci lub brali je na ręce, by z tej okazji korzystając dać im poznać stroje narodowe i zwyczaj staropolski. Tow. nie szczędziło trudów i kosztów, za co się publiczność odwdzięczyła licznem przybyciem i podziękowała oklaskami. Podczas poloneza obdarzono panie pięknemi bukiecikami a panów luźnemi kwiatami. Publiczność, która przepełniła salę po brzegi, bawiła się ochoczo. Podczas tańców przedstawiono piękny żywy obraz: „Błogosławiąca Flora z rogiem obfitości“, który powtórzono na ogólne żądanie. Rozlosowanie kilku set kwiatów doniczkowych zamieniło salę w ogród i upiększyło zabawę. Życzymy Towarzystwu jaknajpomyślniejszego rozwoju.

Jeden z uczestników.

Z Brazylii. (Kolonia Ijuhy), 8 sierpnia.

„Praca“, ta strażnica przed naporem germańskim w ojczyźnie, utrzymuje nas w związku ze światem cywilizowanym i jest puklerzem naszym przeciwko nieprzyjaciołom naszej narodowości. A dwojakie nam tu grozi niebezpieczeństwo: Brazylianie radziby, ażebyśmy jak najprędzej zapomnieli mowy ojców naszych i robią co mogą w tym względzie, a i Niemcy, *(ci są prawie groźniejsi)* marzący, o politycznem zawładnięciu tym stanem chcieliby nas pochłonąć, tak, że „Praca“ lepszą tu rolę odgrywa niż kilkanaście książek.

Towarzystwo „Im. Tadeusza Kościuszki,“ przy ludności naszej w tej kolonii wyłącznie wiejskiej, słabo społecznie rozwiniętej, istniało więcej na papierze niż w rzeczywistości, a jeżeli posiadało jaki fundusik, to tylko zebrany przy okolicznościach nadzwyczajnych. Lecz przykład Niemców, którzy tu mają aż 3 towarzystwa, dodatnio podziałał w tym względzie na naszych prostaków, więc przed kilku dniami zwołaliśmy walne zgromadzenie i uchwaliliśmy dać pod niektórymi względami inny kierunek towarzystwu — zmieniliśmy jego nazwę i statuty i mamy nadzieję, że tow. rolnicze Matki Boskiej Częstochowskiej nie będzie wegetowało jak tamto. Jak się ono będzie rozwijać oraz o naszem życiu będę się starał cokolwiek donieść redakcyi „Pracy“.

Kazimierz Dąbrowski.
Sekretarz towarzystwa.



H. Prell

Pożegnanie.

ALBUM „PRACY“. DRUKIEM „PRACY“.

Dział ilustrowany.

Z OJCZYSTYCH STRON.

TORUN
przed wiekami i dziś.

I.

Kunsztownemi rymy, wielką przenikniętemi miłością, opiewał grody polskie, wzdłuż wybrzeży Wisły leżące, sławetny burmistrz Zamościa: Sebastyan Fabian Klonowicz, który też nie na urzędach, lecz na Parnasie narodowym zasłynął. Nad Toruniem dłużej się rozwiódł i tak o nim „Flisowi“ swemu w cudnym poemacie opowiada:

„Od siebie się miej, gdzie wdzię-
[czne winnice
Wiszą nad Wisłą, w nich żywe
[krynice,
Ujrzysz lusthauzy i ogrody śliczne,
Drzewa rozliczne.

Lecz naprzód ujrzysz nad górami
[śpice
I wież wysokich złote makowice,
Co swemi wierzchy modre niebo
[orzą,
Obłoki porzą.

A gdyć za szkutą w zad ucieką
[góry,
Oglądasz świetne, jako płomień
[mury,
Miasto, jak z rąbka wywinął,
[osobne,
Na wszem ozdobne“

W mieście onem ludzie na podziw cnotliwi, pracowici, spokojni, nad czem czuwają pilnie ojcowie grodu, którzy zgorszenie wszelkie karzą surowo. Przytacza na to dowód poeta, nadmieniając z właściwą wiekowi, w którym żył, rubasznością (co mu z tego względu wybaczyć należy), iż za miastem:

„Mostowy ostrów ujrzysz wnet przed sobą,
Gdzie chceszli się też stawić swą osobą
Najdziesz dwunogie i niepłoche łanie
Myśliwy panie:

Co je porządny senat wypędził w las
Z trzody wstydliwych i chodzą samopas,
A przeto, flisie, mijaj te syreny,
Strzeż się gangreny.“

Mądrze sławetny senat rządzi, więc miasto w dostatki opływa i zgoła bardzo dobrze mu się dzieje. Poeta, wychwaliwszy je, żegna słowy:

Bógżeć pomoże wierzchności dostojna,
Ku dobrym skłonna, na zuchwałe zbrojna,
Bóg cię tu żegnaj, bo mi pilno w drogę,
Mieszkać nie mogę.

Ale poeta, wracając *z dołu*, t. j. z Gdańska, znów o Toruń zaczepi i przewiduje wcześnie, że część grosza, zarobionego w Gdańsku na zbożu, tu pozostawi:



Kościół N. Panny Maryi (pobernardyński) w Toruniu, wzniesiony w r. 1239, obecnie parafialny.

„A wszakże, gdy mnie wstecz powietrze porwie,
Znowu się człowiek tu, do miasta, dorwie,
A jeśli co się na dole nagoni —
Tu się nadroni.“

Poznajmy się bliżej z miastem, które w dziejach politycznych i ekonomicznych dawnej Polski trwale się zapisało.

Leży ono na prawym brzegu Wisły, jest obecnie powiatowem, ma opinię twierdzy pierwszorzędnej Prus zachodnich, a i dawniej było perłą województwa chełmińskiego. Prastary to gród, wspominają o nim dokumenty z r. 1233. Nazwę nosi słowiańską, ale zgody co do właściwego jej pochodzenia niema. Monografia, uwieńczona nagrodą konkursową przez Towarzystwo naukowe toruńskie, dowodzi, że przekształcona została (zapewne przez Krzyżaków) z nazwy Tarnowo; lecz zdaje się, że lepiej zaufać ks. Frydrychowiczowi, wywodzącemu ją od wyrazu *toron*, którym Mazurowie określali młodego niedźwiedzia, obnoszonego za dawnych czasów, w dzień Nowego roku po wsiach. „Jeszcze i teraz mówią tak na młodego wilka lub psa, które wypchane, w braku niedźwiedzia, obnoszą.“ Krzyżacy nadali Toruniowi w herbie wyobrażenie Bogarodzicy, ale rada miejska, w czasie wojny z Zakonem, zmieniła pieczęć: umieściła w niej anioła, trzymającego tarczę, z wyobrażeniem 3 wież, wznoszących się nad bramą w połowie przymkniętą.

Dzieje autentyczne Torunia rozpoczynają się 1230 r. Wtedy to Konrad, książę Mazowiecki, Czartem z powodu okrucieństw swoich zwany, nie mogąc sobie poradzić z pogańskimi Prusakami, którzy mu ustawicznie dzielnice pustoszyli, sprowadził niemieckich rycerzy krzyżowych pod wodzą Hermana v. Balka, zamek im we wsi Niszawie, na lewym brzegu Wisły, naprzeciw wsi dzisiejszej starego Torunia, zbudował, tam ich osadził, darowując nietylko zamek, ale także obszar ziemi chełmińskiej pomiędzy Drwęcą, Osą i Wisłą. Już w rok potem znachodzimy Krzyżaków i na prawym brzegu Wisły, gdzie dziś wieś Stary Toruń się wznosi, a przy ich zamku powstało niebawem miasto. W r. 1236 częste powodzie zmusiły rycerzy krzyżowych do przeniesienia się o półtorej mili w górę rzeki, znaleźli tam bowiem miejscowość bardzo dogodną,



„Dansker“, wykusz w zamku krzyżackim w Toruniu, znajdującym się obecnie w ruinach.

przez samą naturę obwarowaną z jednej strony bagnami, z drugiej Wisłą. Z rycerzami przenieśli się również inni mieszkańcy Starego Torunia, obok zaś nich osiedli przybysze z Saksonii, Westfalii i Polski, zwabieni nadzieją zyskownego handlu i swobodami, gdyż v. Balk Chełmno i Toruń nietylko bogato uposażył, ale także obdarował te miasta słynnem prawem chełmińskiem z tak rozległym samorządem, jakiego żadne z miast niemieckich nie posiadało. Toruń dzisiejszy wznosi się właśnie na miejscu, przez v. Balka w r. 1236 wybranem.

Potęga Krzyżaków szybko wzrastała; już pod v. Balkiem rycerze ci przewrotni stali się panami całej ziemi chełmińskiej; równocześnie wzrastał dobrobyt ich miast. Toruń zwłaszcza rozwijał się nadzwyczaj pomyślnie, do tego stopnia, że już około roku 1264 obok niego powstaje nowa osada, Nowe miasto, która, jakkolwiek otrzymała przywileje i swobody starszego Torunia, została zawsze miastem drugorzędnem. Musiały te dwa miasta nie być z sobą w szczerej zgodzie, gdyż tak się odosobniały, że murem wysokim i głęboką fosą się odgrodziły: dwie tylko posiadały bramy i te nawet były po obydwóch stronach pilnie strzeżone.

W r. 1269 mieszkańcy Torunia uzyskują pozwolenie na wybudowanie ratusza; w r. 1243 w toruńskim kościele Franciszkanów odbył się ważny synod, na którym ufundowano 4 biskupstwa, w granicach posiadłości krzyżackich: chełmińskie, pomerańskie, sambijskie i warmijskie. Handel miasta rozwija się nieustannie, a to wskutek dogodnego położenia, pod Toruniem bowiem stykają się granice Wielkopolski, Pomorza i Mazowsza. Ztąd wychodziły wozy kupieckie — czytamy w Monografii konkursowej — aż do Wrocławia, Krakowa, na Ruś, a książę na Łęczycy i Kujawach, Władysław, zapewnił im bezpieczny przewód od Służewa. Do nader ważnych przedmiotów handlu należała sól morska, z wybrzeży północnych; tej aż po Dniepr i Karpaty dostarczano, póki żupy wielickie nie wystąpiły ze współzawodnictwem.

Przy mieszczanach toruńskich stale pozostawało prawo przewozu przez Wisłę, za które w końcu XIV wieku płacili rocznie: 11 łokci sukna mechlińskiego, 4 łaszty śledzi szkockich i 144 grzywny (2,231 marek). Kazimierz Wielki obdarzył ich prawem wolnego handlu w całej Polsce bez żadnych opłat.

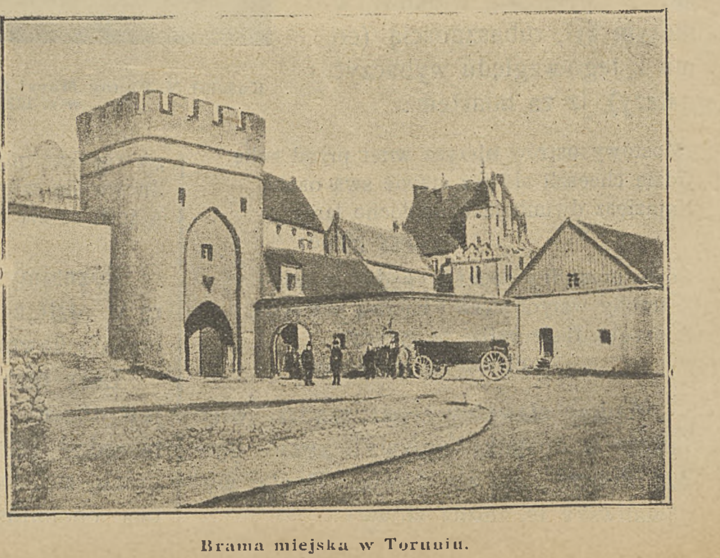
Z kolei handel toruński dotarł do Węgier, a szczyt pomyślności osiągnął po otrzymaniu „Stapelrechtu,“ prawa na skład, którem go wielki mistrz, Winryk v. Kniprode, w r. 1365 obdarował, oddając mu przeto cały handel z Polską, Rusią, Węgrami i Śląskiem. Wszystkie towary, idące do Gdańska z krajów obcych, zwłaszcza z Holandyi, musiały się zatrzymywać w Toruniu, gdzie je kupcy tamtejsi na przekup nabywali. Jeżeli towar jaki, na wywóz przeznaczony, znalazł się na granicy posiadłości krzyżackich, tylko przez Toruń mógł być wieziony; to również obowiązywało towary z Polski, do portów dążące. Handel Polski wywozowy podzielił przeto się między Gdańsk i Toruń, inne zaś miasta, przy brzegach Wisły położone tylko targi miejscowe zaopatrywać mogły.

Następstwem prawa składowego było prawo inne, z r. 1403 obowiązujące, by każdy kupiec, z towarami lądem, czy wodą do Prus dążący, do Torunia się zwracał i tu, co ma, sprzedawał, pod grozą konfiskaty. Przywileju tego strzegli Toruńczanie, jak źrenicy oka, bo istotnie był on dla nich źródłem wielkiego bogactwa. Jakoż odtąd z Torunia wychodzą olbrzymie karawany, do Węgier, przez Brześć Łęczyce, Sandomierz, Żmigród i Bartfalę, lub z Łęczycy na Piotrków, Lelów, Miechów, Kraków; na Ruś przez Lublin, Włodzimierz i z powrotem przez Lwów do Lublina; w Polsce handel toruński miał za drogę linię: Brześć Kujawski — Łęczyca — Opoczno.

Handel toruński i dalej sięgnął. Już w r. 1356 kupcy tamtejsi znajdują się w związku z Hanzą i pozostają w tym stosunku do początku XVII wieku. Okręty toruńskie żeglują między Amsterdamem a Wisłą; gdy w r. 1361 król duński Waldemar III. chciał Hanzeatów cłem obłożyć, naraził się na wojnę z nimi, w której rajca toruński, Jan Kordelicz, przewodniczył posiłkom ze swego miasta.

Z biegiem czasu wytworzyły się w Toruniu trzy stowarzyszenia handlowe, które, wedle zwyczaju niemieckiego, zgromadzały się i porozumiewały w gmachu zwanym Artushof, wybudowanym przy głównym rynku (gdzie obecnie teatr miejski). Każde ze stowarzyszeń miało tu swoją *ławę*. Na pierwszej zasiadało czoło handlu: kupcy hurtowni, należący do dawno w Toruniu osiadłych rodzin, z pomiędzy których rekrutowali się radni i wyżsi urzędnicy, posłowie zagraniczni i przywódzcy siły zbrojnej. Za patrona mieli św. Jerzego. Kupcy zbożowi, właściciele okrętów i inni hurtownicy, później osiedleni, więc do wyższych urzędów miejskich prawa nie mający, zajmowali ławę drugą, pod patronatem Bogarodzicy. Trzecia, pod wezwaniem św. Rejnolda, należała do kapitanów okrętów, oraz do właścicieli szkut i komięg po Wiśle żeglujących. Trzy te stowarzyszenia zagarnęły handel toruński na własność wyłączną; żaden kupiec inny, bez pozwolenia tego potrójnego bractwa, nie mógł się w Toruniu osiedlić, jeżeli zaś który z obcych krajów przybył, wolno mu było jedynie za zezwoleniem rady bractwa towar przywieziony sprzedać.

Rozumie się, że takie przywileje, obok szeroko rozwiniętego handlu, zapewniały mieszczaństwu toruńskiemu



Brama miejska w Toruniu.

wzrost nadzwyczaj szybki. Z tego powodu giełda toruńska stała się dla bractw zarazem domem zabawy i resursą. Już sam pozór gmachu ratuszowego, który dopiero za rządów pruskich, w r. 1796, rozebrany został, dowodził, że kupców toruńskich stać na przepych iście magnacki. Był to bowiem gmach trzypiętrowy, ze szczytem od rynku wysokim, ozdobiony po obydwóch bokach strzelistemi wieżyczkami; szczyt główny zakończony był kulą, z wyobrażeniem św. Jerzego w płaskorzeźbie. Przy oknach ciągnęły się nisze z posągami, królów polskich, postaci alegorycznych (trzech cnót Bozkich i czterech kardynalnych), oraz dwóch Kartagińczyków: Hanibala i Hamilkara. Wzdłuż gzemsu widniały herby miast sprzymierzonych, a z obydwóch stron wspaniałych drzwi widniał orzeł polski z mieczem w pazurze i orzeł Prus królewskich.

Rada miejska Torunia składała się z 12 rajców dożywotnich, między którymi znajdowało się 4 burmistrzów, kolejno po roku urzędujących. Burmistrz wstępujący przechodził do grona rady ściślejszego, t. z. starszyzny. Rada wglądała we wszelkie potrzeby miasta: rozporządzała samowładnie skarbem miejskim, mianowała urzędników, proboszczów wiejskich, nauczycieli, do niej należało sądownictwo karne, niższe i wyższe, przyjmowała apelacye od sądu w granicach miasta i od dóbr jego, mianowała delegatów na zjazdy hanzeatyckie do sądów powiatowych i rady krajowej, która od r. 1416 zgromadzała się pod kierunkiem wielkich mistrzów krzyżackich. Panowie radni wyróżniali się od reszty śmiertelnych własnym ubiorem: zimą nosili długie z przodu otwarte, kunami lamowane z wierzchu płaszcze, a u kapeluszy, jedwabiem dzierżganych, 3 guzy srebrne; latem u pasów mieli srebrne sprzączki, szpady w srebrnych okładzinach, z rękojeściami także srebrem wykładanemi.

Walentynian.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Listy z nad jezior mazurskich.

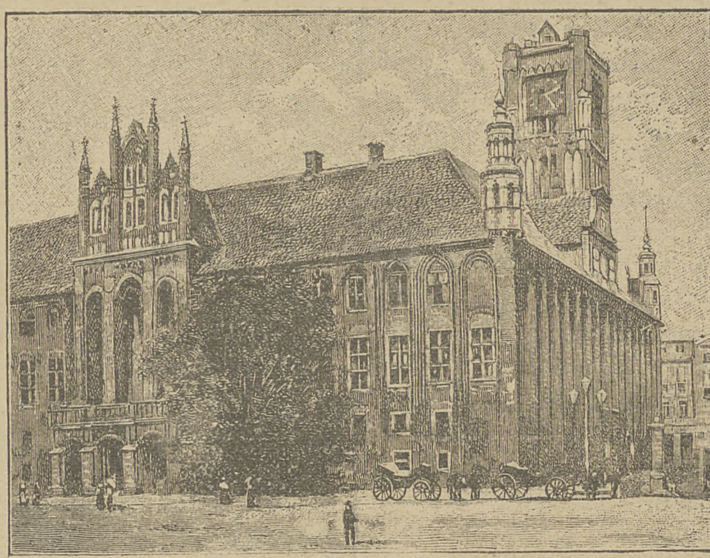
(Ciąg dalszy.)

W przedziale czwartej klasy zastałem dwa rzędy mężczyzn, rozsiadłych na ławach, milczących. Skwar usposabiał sennie. Dopiero gdy pociąg począł wić się powoli wśród płaszczyzny, wysłanej koniczyną, lnem i poznaczonej tu i owdzie ciemnemi plamami boru, lekki zefyr wionął przez okna i chłodził skronie.

Wszczęła się gawęda – po niemiecku. Mój sąsiad przystojny, dobrze odżywiony człowiek średniego wzrostu, ozwał się do mieszczucha, który siedział naprzeciwko, pochylony nad walizką, z przygasłem cygarem w ustach. Jak dowiedziałem się później, był to w tem gronie jedyny Niemiec, podróżujący kupiec.

Z rozmowy okazało się, że mój sąsiad — rzeźnik z Wielbarku — był dnia tego z prośbą u landrata, który w tych stronach, gdzie nie ma jak w Poznańskiem komisarzy okręgowych, jest jedynym ojcem i panem powiatu. Ztąd odbiera nieustannie wizyty petentów — podwładnych.

Upewnił mnie o tem piekarz z Wielbarku, z którym rozpocząłem rozmowę. Na dźwięk języka polskiego Niemiec rozwarł oczy szeroko i zatopił je we mnie badawczo.



Ratusz w Toruniu.

— Zkąd tyś się tu przypłątał — pytał mnie wzrokiem, w którym łyskała iskierka niechęci i podejrzliwości.

Na odpowiedź nie potrzebował długo czekać, bo niebawem zaschły, drobnego wzrostu gburczy „winiarz" zagadnął mnie:

— Zkąd oni?

— Z Poznania.

— Czy to pod pruskim królem?

Pospieszyłem z wyjaśnieniem i wnet rozmowa stała się niemal ogólną. Niemiec zaś, który snadź rozumiał po polsku, ciskał jadowite, zaczepne spojrzenia aż wreszcie bogowie spuścili sen na jego powieki, by ukoić zaniepokojoną duszę, i głowa opadła mu na piersi.

— Czy z tej strony Szczytna są wielkie majątki? — spytałem rolnika, który dotąd nie odezwał się ani słowem.

— Ino gburskie wsi — odparł Krysztof Zrański. — Na mroźciźnie (północy) są majątkarze, ale nie wiele.

— W jakiej cenie jest ziemia?

— Kole ośmnaście talarów morga roli a piędziesiąt morga łąki.

— Co waść uprawiają?

— Żyto, kartofle, klower, len...

— A nie ma tu w okolicy wsi niemieckich, kolonistów?

— Ni.

— Zapewne przy welunku waść oddali głos na polskiego kandydata?

— Jo, cało wieś. W niedzielę przed welunkiem zebrali się ludzie w karczmie, chcąc posłuchacz mowy jakiegoś mowcy od konserwatistów.

On gadoł i stawił mnogo psiwa, lecz skoro odjechoł, jeden kowal gadoł, że my Mazury głupie, bo wsiscy za kielisek wódki cetel od konserwatywów weźniemy. Było w karczmie między wsistkimi omówienie jawnie i głośno o naszym polskim kandydacie i wsiscy ogłosili, że chcą tylko wsędzie jego welować. Lecz jawnie nikt tego mówić nie mógł, gdyż jak już było z przeszłego welunku wiadomo, potem urzędnicy na takiego co jawnie występuje, nastąpują i różne strafy zadają, za lada cobądź się trafi.

Tak opowiadał mi „winiarz" tj. gospodarz na wymiarze z pod Wielbarku i rozmowa weszła na tory polityki.

— U nas welowali konserwatystę — wtrącił młody człowiek o ładnej twarzy, ubrany pretensyonalnie w pikową kamizelkę wątpliwej czystości.

— A zkąd waść pochodzą?

— Z Niborka — odparł dandys mazurski i począł dość poprawną polszczyzną opowiadać mi o swem miasteczku rodzinnem. Gdy podniosłem, iż dobrze mówi po polsku, pochwalił się, że brał lekcye polskie, przygotowując się na tłomacza sądowego.

Tymczasem parobek sięgnął po gazetę polską, którą przeczytawszy na

początku podróży, odłożyłem na siedzenie. W tej chwili podniósł się z kąta wysoki blondyn i przysiadłszy się do robotnika, począł literalnie pożerać druk.

Odrazu podpadła mi spokojna, uduchomiona, inteligentna jego twarz, i nieraz strzelałem ku niemu okiem, zaintrygowany klerykalnym jego ubiorem. Robił wrażenie kleryka katolickiego.

— Czy waść rozumie? — spytałem czytającego robotnika.

— Jo rozumieje, ale oni mają inse głoski.

Wrzekomy kleryk podniósł na mnie swe błękitne źrenice i ozwał się:

— Cytałem niedawno brosurę: die Polnische Wühlarbeit, którą mi dali.

— Kto waściowi dał? — indagowałem.

— Jeden... znajomy — odparł wymijająco.

— Czemu waść ubrany jak ksiądz?

— Bo należę do jednej misyi.

— To waść zapewne baptysta.

Ucieszył się niezmiernie, że odgadłem, a zjednałem go sobie, gdy począłem mu opowiadać, że spotykałem baptystów zagranicą.

Młody baptysta, niedawno ochrzcony, był „winiarzem“, lecz oddawał się z zapałem teologii i wyrósł na jednego z niewielu mazurskich misyonarzy baptyzmu. Podczas gdy inni, Niemcy przemawiali do ludu po niemiecku i celowo szerzyli germanizacyę, on mówił po polsku i dzięki temu, jak mi mówił, osiągał daleko lepsze rezultaty od Niemców. Uznawał on pedagogiczną zasadę, że o rzeczach wiary należy ludziom mówić w ich języku i przyznawał słuszność, że krzywda się dzieje Mazurom, iż dziatwa jest zmuszoną uczyć się katechizmu w obcej mowie.

Nie długo rozmawialiśmy o rzeczach dotyczących wiary, bo baptysta począł przytaczać twierdzenia z wzmiankowanej broszury, wyzywając mnie niejako do dyskusyi. Łatwem było zadaniem prostować potworne fałsze, zaczerpnięte z tendencyjnej broszury, a zarazem bardzo wdzięcznem, bo misyonarz, człowiek nie bez erudycyi, nie był skłonnym dawać wszystkiemu wiarę, co wyczytał, i zarówno w nim jak w innych uważnych słuchaczach można było-by odczuć strunę iście cudownej, instynktownej sympatyi, jaka za najlżejszem poruszeniem dźwięczy na nutę polską.

Wtedy, jak nieraz później w ciągu podróży, rodziła się we mnie ta pewność, że zbiorowa dusza tego zapomnianego ludu grawituje ku sercu polskości, że na dnie jej kryją się włókna, które trzeba nam tylko poruszyć i spoić z ciałem narodu, że lud mazurski wyciąga bezwiednie ramiona z morza niemczyzny ku Polsce.

W szermierce z sympatycznym misyonarzem, zapalnym dla idei, brał udział chłop z wsi granicznej o twarzy chudej, energicznej, oczach bystrych, wesołych. Był to „kościelniany“ z ewangielickiego kościoła, zarazem „winiarz“ i niekiedy — przemytnik. Liznął nieco łaciny z wrodzonej ciekawości do książki i nieco języka rosyjskiego — z potrzeby, w dni świąteczne bratając się z rosyjską strażą pograniczną.

Zsunąwszy z czoła czapkę strażaka, prawił, jak człowiek całkiem uświadomiony i przeplatał żartami.

Panował wpośród nas serdeczny nastrój, rozumieliśmy się doskonale. Że nie byłem obcym w tym gronie, zapewnił mnie mój sąsiad, który zrazu uważał mnie za intruza. Pod koniec podróży, kładąc mi rękę na kolanie, wyrzekł z skupieniem niezapomniane sowa:

— Waściulek to z krwi i kości nas.

Roman Rola.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z żałobnej karty.

Literaturze polskiej ubyła weteranka pióra. W Warszawie zmarła sędziwa i bardzo zasłużona powieściopisarka, *Walerya Marrene- Morzkowska.*

Od dziesięciu miesięcy dotknięta chorobą sercową, która sprawiała jej dotkliwe cierpienia, nie wypuszczała



Śp. Walerya Marrene-Morzkowska.

ulubionego pióra z dłoni, pisząc do ostatnich niemal chwil powieść, której nie zatytułowała jeszcze, gdy śmierć zaskoczyła autorkę, pełną sił umysłu i ducha, mimo ulatującego już życia. Przed kilku dniami zaopatrzona Sakramentami na drogę wieczności, zmarła na rękach córek, które otaczały ją tkliwie i serdeczną troskliwością. Śp. Walerya Marrene - Morzkowska urodziła się przed 70 laty we wsi Zbożenna w pow. opoczyńskim, gub. radomskiej, majątku rodziców: jenerała Jana Mallet de Granville i Adeli z Krasińskich. Ojciec Marrenowej przywędrował był z armią napoleońską i po odbyciu kampanii r. 1812 i 1813, osiadł na stałe w Królestwie jako jenerał inżynier instruktor b. wojska polskiego, poczem osiadł na wsi i, habilitując się, spolszczył nazwisko swe na Malletski. Matka zmarłej autorki była rodzoną synowicową jenerała Izydora Krasińskiego. Otrzymawszy wychowanie domowe, śp. M. kształciła się potem w Nowej Aleksandryi i Krakowie, gdzie specyalnie uczyła się rysunków, do których od dzieciństwa miała wielkie zamiłowanie i talent. Oprócz tego studyowała jeszcze literaturę, fizykę, chemię i fizyologię. Mając lat 16 zaledwie, wyszła za mąż za ś. p. Michała Morzkowskiego, znanego z kilku prac literackich. Owdowiawszy, wyszła za mąż powtórnie za śp. Władysława Marrene, który umarł w r. 1898. Od r. 1877 śp. Walerya przeniosła się ze Zbożenny na stałe do Warszawy, gdzie w kołach literacko-artystycznych zebrania poniedziałkowe w jej gościnnym domu na długo pozostaną pamiętne ich uczestnikom, gromadziły bowiem wszystkich, występujących na horyzoncie literatury i sztuki.

Śp. Walerya Marrene-Morzkowska pisać zaczęła bardzo wcześnie, ale utworów swoich od razu nie drukowała. Pierwszą jej powieścią ogłoszoną drukiem był w roku 1857, „Nowy gladyator“, poczem posypał się stos książek z pod pióra Marrenowej, czytanych zawsze z upragnieniem i zajęciem w ciągu jej 45-letniej działalności pisarskiej.

Do najcelniejszych utworów należą: „Jerzy“ (1864), „Augusta“ (1866), „Życie za życie“ (1867), „Mąż Leonory“ (1869), „O proszonym chlebie“ (1879), „Bożek Milion“ (1871), „Nemezys“ (1873), „Walka“, „Historya dwóch serc“, (1874), „Mężowie i żony“ (1874), „Zasady i czyny“ (1875), „Błękitna księżniczka“, Smutna swadźba“ (1876), „Świat rzeźbiarz“ (1879), „Józwa Szymczak“ (1879), „Dziki Tomek“ (1881), „Panna Felicya“ (1885), „Ostatnia fala“ (1885), „Emancypowana“ (1889), „Historya zwyczajnego człowieka“ (1893), „Symfonia światła“ (1898) i wiele innych.

Morzkowska była nietylko powieściopisarką, lecz i krytykiem literackim. Na uwagę zasługują: studya jej o Krasińskim, o Brodzińskim, o dramatach Słowackiego i inne.

Napisała też specyalną książkę o wychowaniu, wydaną nakładem

Orzeszkowej pt. „Wady w naszem wychowaniu“. Praca ta ma charakter przedewszystkiem praktyczny; autorka nie sięga do badań teoretyczno-psychicznych, lecz analizuje postępowanie rodziców względem dzieci, wytykając w niem liczne błędy.

Morzkowska pisała często artykuły publicystyczne; w drugiej połowie ósmego lat dziesiątka redagowała przez lat kilka postępowy tygodnik dla kobiet,broniących ich praw pt. „Świt.“

Zmarła powieściopisarka odznaczała się żywym umysłem i wrażliwym na wszystko, gorącym temperamentem i pogodnem usposobeniem. W stosunku do ludzi była bardzo dobra, uczynna i towarzyska.

Morzkowska ukształtowała swoje poglądy w epoce panowania pozytywizmu. Okoliczność ta wycisnęła silne piętno na jej umyśle. Odznaczała się ona gorącym patryotyzmem.

Śmierć Morzkowskiej osierociła trzy jej córki: Panią Kamilę Leval, żonę wybitnego przemysłowca w Marsylii, dawniej artystkę śpiewaczkę; pannę Antoninę Morzkowską, nowelistkę i zasłużoną tłómaczkę kilku prac naukowych i panią Irenę Laurysiewiczową, żonę dyrektora fabryki w Warszawie. Dwie pierwsze z pierwszego, a trzecia z drugiego małżeństwa.

Cześć pamięci zasłużonej powieściopisarki i obywatelki!

X.

JESIEŃ.

Jesień słodyczą z niebios się uśmiecha
Ogromnie jasna i ogromnie wielka,
I słucha letnich snów i szałów echa,
Niby spowiedzi dziecka rodzicielka,
Co w swojej cichej i dobrej zadumie
Wszystko przebacza i wszystko rozumie.

Lato spowiada się jej wielkim płaczem,
Jak ten, co stracił swoją młodość całą,
I oto wraca bezdomnym tułaczem
Z sercem rozbitem i piersią zmartwiałą,
I do nóg matki łkający przypada,
A ta mu ręką gładzi czoło — blada.

Skarży się matce jesieni w niedoli
Zeschniętem kwieciem jabłonek i trześni,
Ziarnami, które nie wyrosły z roli,
Niewyśpiewanym hymnem ptasich pieśni,
Gromami, które bić nie miały siły
I same w sobie swe żary gasiły.

Niezebranemi na ścierniskach plony,
Błyskami słońca zgasłemi w przestrzeni,
Całą tragedją potęgi straconej
Skarży się lato przebrzmiałe jesieni,
A jesień słucha w żałosnej zadumie:
Wszystko przebacza i wszystko rozumie.

Bronisława Ostrowska.

Djabeł Boruta.

Poniżej zamieszczona ilustracya przedstawia djabla Borutę, bohatera znanego z wielu legend szlacheckich, szczególnie w postaci złego ducha, pilnującego skarbów zaklętych w prastarym grodzie polskim, zamku Łęczyckim.

Opowiadane legendy o duchach i skarbach w podziemiach zamkowych krążą dotąd pomiędzy ludem.

Skarbów tych strzedz miał djabeł Boruta, w chwilach wolnych wiele figlów płatający mieszkańcom okolic. Błądził on po moczarach podmiejskich, zaczepiał po drodze zakonników, strofując za odmawianie pacierzy wieczornych rano, lub rannych wieczorem, podróżnych na trzęsawiska zaprowadzał i śmiał się później, a śmiał głośno i donośnie, że śmiech ten w mieście słychać było. Pewnego razu wybrał się nawet na wesele, a gdy zbyt natarczywie zapraszał pannę młodą do tańca, urażony małżonek wyzwał go na szable. Boruta w pojedynku stracił dwa palce. Innym razem tenże Boruta w jakiejś zwadzie stracił piętę przytrzaśniętą mu drzwiami. Lud go widywał. W kontuszu, przy szabli kulawy, zawsze był wesół, ale po północy do swych skarbów powracał i zasiadał na beczkach złota. Dziś cicho o Borucie i o jego figlach, ale w istnienie skarbu mieszkaniec Łęczycy wierzy i zawsze spogląda na zamek jak na wielki los ukryty w kole loteryjnem. Przed kilkunastu laty nawet zamieszkały w zamku ogrodnik chciał się z bratem dokopać wrót, prowadzących z wieży do lochu, by stamtąd wydobyć wreszcie ów skarb. Obsunęła się ziemia i zginęli straszną śmiercią chciwi grosza ludzie. *—ski.*



Djabeł Boruta.

Człowiek potwór.

Przed sądem przysięgłych w Bajreucie rozegrał się w ostatnim czasie proces kryminalny, który poruszył całą prasę europejską, a mianowicie w kołach pedagogicznych i lekarskich wywołał żywą rozprawę. Na podstawie aktu oskarżenia podały już gazety codzienne krótkie sprawozdanie o zbrodni Dippolda, w toku procesu jednak wyszły na jaw takie szczegóły, że uważamy za właściwe — pisze „Kurjer Warszawski“ — zająć się psychologją

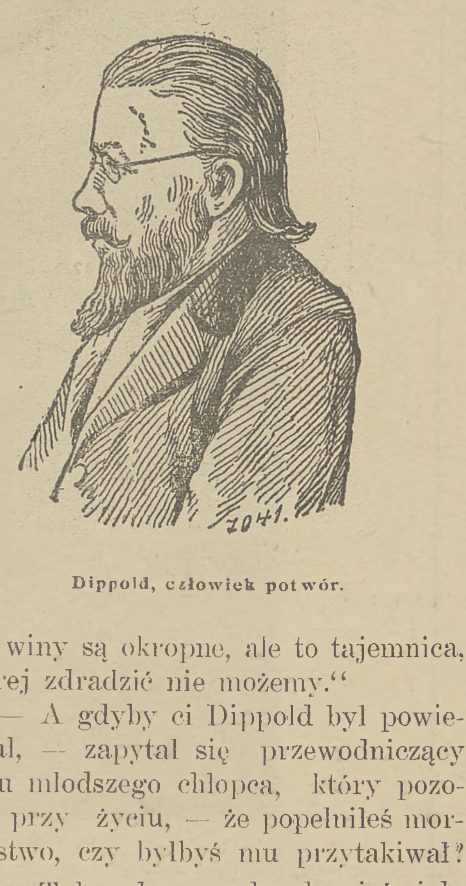
mordercy i wysnuć z niej przestrogę dla rodziców i wychowawców. Bogaty bankier berliński Koch powierza wychowanie swoich synów guwernerowi, który wszystkich zachwyca swoją powagą, energią i czujnością niezmordowaną. Dippold — takie jest nazwisko tego potwora — wyjeżdża z chłopcami na wieś, aby zdala od gwaru wielkomiejskiego poświęcić się zupełnie swoim zadaniom pedagogicznym. Uczniowie i nauczyciel pisują do rodziców listy, pełne spokoju i szczęścia. Raz tylko ktoś uwiadamia p. Kocha i jego małżonkę, że Dippold jest okrutnikiem, że katuje dzieci. Rodzice zarządzają śledztwo i posyłają zaufanego lekarza, który ma zbadać prawdę tych pogłosek. Ale Dippold oświadcza, że dzieci są zepsute, że mają zgubne nałogi, że bez kary cielesnej wychowywać ich nie może, że kara ta jest nawskroś pedagogiczna, że używa trzciny cieniutkiej tylko w nadzwyczajnych razach i t. p. Dzieciaki nie mają odwagi protestować, lekarz wyjeżdża zachwycony dzielnością guwernera, rodzice podwyższają mu pensję.

Niebawem bankier Koch otrzymuje list od jednego ze swoich synów, w którym chłopiec 15-letni przyznaje się do różnych występków, kradzieży i rozpusty. Pisze, że chcąc ulżyć swojemu sumieniu, spowiada się dobrowolnie i że wszystkie kary, wymierzane przez Dippolda, są sprawiedliwe. Rodzice martwią się wielce i cenią tem więcej energicznego guwernera, który ich zbłąkane dzieci tak umiejętnie prowadzi na drogę pokuty i obowiązku.

Nagle... wieść hjobowa! Mały Heinz umarł; guwerner zapytuje, gdzie ciało ma być pochowane. Zanim jednak jeszcze państwo Kochowie ochłonęli z przerażenia, nadchodzi wieść druga: Dziecko jest zamordowane, Dippold uwięziony.

I oto powoli wychodzą na jaw rzeczy, których szczegółowo opowiedzieć tu wprost niepodobna, i które w sali sądowej wywołały takie wrażenie, że publiczność płakała, a tu i owdzie odzywały się głosy: „Tego już wytrzymać nie można!“ Dippold systematycznie przez dwa lata mordował chłopców. Ciało zabitego było pokryte tysiącami ran i guzów, pełnych materyi. Śmierć nastąpiła wskutek wycieńczenia, wskutek „braku krwi,“ jak opiewa sprawozdanie lekarskie. Obaj chłopcy byli bici kilkanaście razy dziennie grubemi kijami, z których po każdej operacyi zostawały tylko strzępy. Gdy mdleli, polewano ich wodą i znowu bito. Przed spaniem krępował ich Dippold sznurami i budził 10 razy w ciągu jednej nocy, pieszcząc się ich męką, a w zimie wypędzał ich boso na śnieg i na mróz. Najwyrafinowańsze katusze zadawano chłopcom, katusze tak straszne, że pióro wzdryga się przed ich opisem. A Dippold na uwagi służby przerażonej odpowiadał cytatami z Biblji, modlił się gorąco i pisywał do rodziców swych ofiar o doskonałych skutkach wychowania.

Z przesłuchów świadków i zeznań lekarskich wynika, że dzieci były dobre i łagodne, że nigdy zgubnym nałogom nie hołdowały, że wszystko, co Dippold donosił o ich rzekomych występkach, było wymysłem dla usprawiedliwienia okrucieństw i było szatańską sugestją, której ulegały ofiary. Dzieci nieszczęśliwe utraciły zupełnie wolę i siłę oporu. Uwierzyły, że są grzesznikami, pisały na siebie oskarżenia, dyktowane im przez guwernera, niekiedy wprawdzie wyły z bólu i szukały ratunku u służby, lecz zaraz nazajutrz oświadczyły: „Tak być musi. To potrzebne dla naszego dobra. Na-



Dippold, człowiek potwór.

sze winy są okropne, ale to tajemnica, której zdradzić nie możemy.“

— A gdyby ci Dippold był powiedział, — zapytał się przewodniczący sądu młodszego chłopca, który pozostał przy życiu, — że popełniłeś morderstwo, czy byłbyś mu przytakiwał?

— Tak sądzę — odparł nieśmiało dzieciak, już rozbudzony z sugestyi. — My obaj mówiliśmy wszystko, czego Dippold żądał.

Ośmiu lekarzy, wezwanych w charakterze biegłych, oświadczyło, że Dippold jest klasycznym typem zwyrodnienia, zwanego „sadyzmem,“ że pastwienie się sprawiało mu rozkosz niewysłowioną, że krępował dzieci powrozami, bo ich bezsilność była mu najmilszą sensacyą, że bił ich i katował, bo ich łzy i krew budziły w nim emocję przyjemną, że całe to zwyrodnienie jednak nie wyłącza odpowiedzialności, w pojęciu jurystycznem, albowiem człowiek ten posiadał świadomość swoich występków, myślał logicznie i układał z góry plan obrony, gdyby wydać się miały jego zbrodnie. Sąd tedy nie przyznał łagodzących okoliczności i skazał potwora na 8 lat „cuchthauzu.“

Zbrodniarz został ukarany, ale czy w tej strasznej tragedyi Dippold jest istotnie jedynym winowajcą? Prokurator starał się rodzicom zamordowanego chłopca wystawić jaknajchlubniejsze świadectwo, oni sami opowiadali ze łzami o swem bezgranicznem przywiązaniu do synów, a jednak ktokolwiek uważnie czytał sprawozdanie z procesu, musiał odnieść wrażenie, że ani ten bankier Koch, zajęty finansami, ani ta bankierowa, „uginająca się pod ciężarem obowiązków salonowych,“ nie są bez winy w tej okropnej zbrodni. Jak to? Więc matka, otrzymująca listy niepokojące od obcych ludzi i listy od własnych dzieci, pełne dziwnych, wprost nieprawdopodobnych wyznań i zwrotów pokutniczych, siedzi sobie spokojnie w Berlinie i nie stara się osobiście zajrzeć swym synom w głąb duszy? Jak to? Więc ojciec oddaje synów w ręce guwernera nieznanego, wysyła ich na prowincyę, a otrzymawszy uwiadomienie o sprawkach Dippolda, poleca tylko lekarzowi domowemu, aby zbadał i ocenił sytuacyę. Pan bankier nie ma czasu, bo giełda ważniejsza od dzieci, pani bankierowa nie ma także czasu, bo rauty, bale i premiery wypełniają całe jej życie. Więc zbrodniarz miał ułatwioną robotę. Wierzono mu na słowo, zachwycano się jego „dzielnością,“ wynagradzano go po królewsku. A choć tam czasem jakieś podejrzenie zbudziło się w duszy rodziców, choć listy synów były nieco dziwne, choć ludzie bąkali to i owo, ej! któżby tam zważał na takie drobiazgi, któżby sobie zaprzątał głowę dzieciakami w biurach i salonach bankierskich? Pan Koch i p. Kochowa byli nawet zadowoleni, gdy Dippold ich prosił, aby mu się do wychowania nie wtrącali, bo to psuje jego „system pedagogiczny.“ To tak wygodnie nie myśleć o dzieciach, odsunąć od siebie wszystkie kłopoty i znaleźć przed własnem sumieniem wymówkę, że psuć nie trzeba „systemu,“ że źle jest osłabiać powagę guwernera!

Czyż jednak ten bankier berliński i jego żona są naprawdę tylko wyjątkowem zjawiskiem? To oddawanie dzieci na łaskę i niełaskę guwernerów, to zaniedbywanie wszelkiej kontroli nie zawsze wprawdzie prowadzi do takich tragedyi, jak zamordowanie małego Kocha, ale kryje w sobie niebezpieczeństwa poważne, których pewne

sfery nie nauczyły się jeszcze, niestety, właściwie oceniać. Powołując się na sprawę Dippolda, kilku lekarzy niemieckich zwróciło słusznie uwagę, że mianowicie przyznanie guwernerowi prawa karania cielesnego jest bardzo ryzykowną koncesyą. Morderca małego Kocha był nadzwyczajnym potworem, ale małe potworki są zjawiskiem dość pospolitem w kołach pedagogicznych. I to nietylko wśród mężczyzn, lecz także — niemal częściej jeszcze — wśród kobiet. Jedno z czasopism londyńskich wskazało bardzo niedawno epidemiczność tego zwyrodnienia, które tak jaskrawy wyraz znalazło w Dippoldzie, i przytoczyło z dziedziny szkolnej kilkanaście przykładów, nasuwających poważne refleksye. Ten typ patologiczny, który stanął przed sądem przysięgłych w Bajreucie, jest tem niebezpieczniejszy, że zazwyczaj maskuje wybornie instynkty zbrodnicze i bardzo często ludzi pobożnością, dużym zasobem wiedzy i pozorami talentu pedagogicznego. Ja osobiście znałem niegdyś nauczycielkę, prowadzącą wszechwładne rządy w domu owdowiałego obywatela na wsi, który często bawił za granicą. Była to kobieta niezmiernie inteligentna i posiadająca na pozór wszystkie zalety wychowawczyni, a jednak przypatrzywszy się bliżej postępowaniu jej z dziećmi, odkryłem w tej poważnej pani wyraźne ślady zwyrodnienia. Karanie było dla niej rozkoszą. Niekiedy wprost prowokowała zatargi z uczennicami byle tylko znaleźć powód do karania, niekiedy podsuwała im z całą świadomością pokusy, byle mieć możność używania rózgi, zamykania ich w piwnicy lub przywiązywania młodych panienek w bardzo męczących pozycjach do łóżka. Ale nikt nie wierzył mojemu odkryciu i trwało to lat kilka, zanim nareszcie przekonano się, jaki potworek siedzi w tej „świętej“ wychowawczyni.

Są pewne zboczenia duszy ludzkiej, o których mówić publicznie podobno „nie wypada“. Uchodzi to za nieprzyzwoite i gorszące, ale kto wie, czy właśnie ta pruderja nie wyrządza sprawie wychowania fatalnej przysługi. Gdyby matki wiedziały dokładnie, jakie niebezpieczeństwa zagrażają ich dzieciom, może czytałyby umiejętnej i uważniej w duszach tych, którym wychowanie swych synów i córek powierzają. *W. R.*

Odwróć źrenice od nędz świata.

Odwróć źrenice od nędz świata,
Od płonnej walki z życia gadem,
Niech leci w górę myśl skrzydlata,
Gdzie gwiazd najczystszych świeci [dyadem.
Nad trosk codziennych okręg ciasny
Wzbij się — szarzyzny smętne dziecię —
I stwórz w marzeniu świat swój własny,
I żyj w zaklętym owym świecie.

Odepchnij wszystko małe, brudne,
Wszystko, co z ciała jest poczęte,
Tam — upojenia znajdziesz cudne,
Ekstazy ducha znajdziesz święte.
Anielskie wizye cię otoczą,
Lśniąc śród lazurów srebrem śniegu, —
Idź, gdzie wybrane dusze kroczą
Trwać na tym drugim, lepszym brzegu.

Ach, bo nie trzeba śmierci czekać,
Można przed śmiercią kraj ten widzieć,
Gdy moc masz grzechy z siebie zwlekać,
I ziemskie życie sobie zbrzydzić —
O budź anioła, który w tobie
Mieszka z przedbytu doby mglistej,
I żądze swoje połóż w grobie,
I Bogu spowiedź uczyń — czysty!

Niech dni twe będą nowicjatem
Onego bytu, który-ć czeka,
Liljowym skroń swą osyp kwiatem
I odtrąć zwierzę od człowieka.
Wpatrzony w gwiazdy nieobjęte
Wyrabiaj w sobie ducha dzielność —
I nim za bramy wnijdziesz święte
Zrozum, co znaczy nieśmiertelność...

Or-ot.

Spadki milionowe.

Otrzymać spadek, a jeszcze milionowy — to rzecz tak nęcąca przeciętnego śmiertelnika, że na samą myśl o prawdopodobieństwie otrzymania podobnej sumy, dreszcz przyjemny przenika do szpiku kości.

Bez pracy mozolnej, bez zabiegów, bez kłopotów i umartwień swej powłoki cielesnej, ni ztąd ni zowąd, za kilka lat urojonych, a może tylko łez na sucho ocieranych, w przypuszczeniu, że może przecie oczy na rozkaz zapłaczą, chwycić po jakim nieznanym stryjaszku bodajby już nie miliony, ale tysiące — rzecz nader przyjemna, miła, nęcąca i zawsze wprawiająca w dobry humor.

Cóż więc dziwnego, że ten i ów, komu praca, jak psu kolka jeżowa smakuje, przetrząsa losy autenatów swoich, czy czasem który do Kalifornii nie wywędrował?

A jednak mamy kilka słów do powiedzenia pod adresem tych ludzi, którzy podobną nadzieją żyją. Chcemy ich nietylko przestrzedz, ale dowieść im, że 99 na sto alarmów o wakującym spadku, to kaczki, przez sprytnych adwokatów puszczane, by coś zarobić na tem, by z naiwnych może ostatni grosz wydrzeć.

Wreszcie może jeszcze i to nie największem jest złem w tej sprawie. Gorszem jest owo rozczarowanie po doznanym zawodzie, owa ruina moralna, i zaniedbanie najważniejszych spraw w oczekiwaniu spadku.

Nie będziemy tu wymieniać całego szeregu ogłoszeń o takich spadkach amerykańskich, angielskich, hiszpańskich dla całych rodzin przeznaczonych, a dla wywindykowania których potracono fortuny, bo tamto już się nie wróci, ale przytaczamy najświeższe przykłady.

Niedawno czytaliśmy w kilku pismach mniej więcej tej treści ogłoszenie: „Spadek milionowy po *hetmanie* Doroszeńko, musiał po 150 latach urosnąć do olbrzymiej sumy sześciu milionów funtów szterlingów. Suma ta złożona została w banku angielskim w Londynie na procent składany. Krewni z legitymacyami zgłosić się powinni i t. d.

Naiwni niechaj się zgłaszają tam, gdzie im adres podany przez pisma wskazuje. My zaś swoim czytelnikom podajemy takie oto objaśnienie tego spadku dotyczące: 1) Bank angielski sum żadnych na procenty składane nie przyjmował nigdy i obecnie nie przyjmuje. 2) *Hetmana* Doroszeńki nigdy na świecie nie było, a historya mówi nam tylko o atamanie tego nazwiska. 3) Ataman Doroszeńko (Michał) zginął w wyprawie na Krymie w roku 1628. Drugi ataman, Piotr Doroszeńko, syn poprzedniego, zmarł jako więzień stanu w Moskwie około roku 1672, a więc od śmierci tego ostatniego, czy jego ojca, upłynęło nie lat 150, jak chce ogłoszenie, ale zgóry lat 230 najmniej.

Przebiegając dalej historyę kozactwa, z łatwością przejdziemy do przekonania, że ani pierwszy z wymienionych atamanów, ani jego syn nietylko nie mieli czasu na zwiedzanie Zachodu, ale prawdopodobnie zaledwie o jego istnieniu słyszeli.

Bank angielski założony został za panowania Wilhelma III-go w roku 1694, a więc w 22 lat po śmierci ostatniego Doroszeńki, który potomka nie pozostawił.

Co więc sądzić należy o tym spadku milionowym — objaśnienie powyższe chyba aż nadto dowodzi.

Jako drugi przykład wymowny

przypominamy tu o 67-mio milionowym spadku, jakoby pozostałym po Rutkowskim. Spadek ten miał przypadać na trzech spadkobierców. Adwokaci londyńscy, a nawet i petersburscy zajęli się windykowaniem owych milionów, a po długich naradach i wywiadach, po zamianie setek listów z najrozmaitszemi władzami, przekonano się w końcu, że cała sprawa jest najzwyklejszą kaczką, w tym lub innym celu przez sprytne osobistości puszczoną.

Przypomnimy wreszcie jeszcze jeden fakt.

Przed rokiem jedno z pism ogłosiło o spadku jakoby wakującym w Kijowie po niejakim Birysławskim. Spadek miał być przekazany testamentem mieszkańcowi Warszawy tegoż nazwiska. Okazało się jednak, że wszysko fikcyą...

Ktoś z domniemanych spadkobierców, potrzebujący kredytu — przy pomocy marnego reportera, zamieszcza w jakiemś piśmie wiadomość o spadku, a inne pisma już w dobrej wierze powtarzają pogłoskę, chcąc oddać przysługę poszukiwanym spadkobiercom. Nazwisk jednakich nie brakuje. Wieść trafia do domu ludzi naiwnych i porzucają pracę, wyszukują dowodów i biegną do adwokatów, by im szukali... wiatru w polu.

Za pośrednictwem naszej prasy kaczki tego rodzaju rzadko w świat są puszczane, ale najczęściej źródłem ich jest prasa zagraniczna. Sprytni oszuści wiedzą bowiem o słabostce naszej, że na zagranicę patrzymy jak na zaczarowaną krainę złota, pereł, brylantów i szmaragdów. O każdym z naszych krewniaków, który wywędrował do Ameryki, bodajby tam w nędzy umierał, sądzimy, że został milionerem i że ani myślał się żenić, by mieć najbliższą do spadku rodzinę, ale czuwał, by spadek ten nam się do rąk dostał.

Krewniak taki, o którym z za morza wieści nas nie dochodzą — spać nam nie daje. Widzimy go jak wór złota dla nas przeznaczony, bylebyśmy tylko mieli akty urodzenia swego w porządku.

Otrząśnijmy się raz nareszcie z naiwności, niech nie szydzą z nas Amerykanie, Anglicy, Niemcy czy Francuzi, a może wreszcie i nasi ziomkowie za granicą zamieszkujący. Znając naszą słabostkę do łatwego zdobycia grosza — igrają z nami jak kot z myszą, a my pełni otuchy i nadziei wyrzucamy na łup sprytu to nawet, co dobrze zapracowanego w kieszeni mamy.

L. V. J.
(„D. D. W.“)

Wspomnienia z niewoli moskiewskiej
roku 1863-go,

przez **B. M.**

(Ciąg dalszy.)

Matka moja nie wiedziała wcale, że wystąpiłem z wojska ......kiego. Jakąż musiała być jej boleść, gdy nie mając dłuższy czas żadnej odemnie wiadomości, naraz dowiedziała się, że jestem w moskiewskiej niewoli! Wyobrażałem sobie co przeszła, starając się o paszport i na jakie nieprzyjemności narażoną była, jadąc przez Polskę. A było się to i czego bać! Ileż ofiar padło zupełnie niewinnych, spokojnie sobie drogą jadących! Wszystko to, że tak powiem, bezładnie cisnęło mi się do głowy! Noc całą oka nie zamknąłem. Nareszcie zaczęło świtać. Z jakimże pospiechem wstałem; zaglądnąłem w okno. Jakże pusto i cicho! Straż tylko się przechadza, odwróciłem się od tego niemiłego widoku. Przed kilkoma godzinami obojętnie patrzyłem w przyszłość moją; co za różnica teraz! Dziwna tęsknota i niespokojność mnie ogarnęła. Wiekiem zdawały mi się te kilka godzin ,przebytych w oczekiwaniu. Na każdy szelest nadstawiałem uszu, nie mogłem się doczekać tego upragnionego hasła: *„Do swidanja!“*

Nakoniec przecież wymówiono moje nazwisko. Jak nieprzytomny wybiegłem z kaźni, przebiegłem kurytarz, podwórze i rzuciłem się w objęcia matki mojej. Jaką była radość, jakie przywitanie nasze, daremniebym się starał opisać. Ze łzami opowiadała mi o odebraniu jednego dnia trzech listów ze Stobnicy, bez podpisu, a wszystkie z wiadomością o mnie, — jak chcąc się starać o paszport do Polski, dostała list z Krakowa, w którym jej donoszono, że już poczyniono kroki o uwolnienie moje, — jak nareszcie otrzymawszy list ze Staszowa, z którego dowiedziała się o wywiezieniu mnie do Kielc, wszystkich dołożyła starań; a dostawszy paszport pojechała za mną. Ja nawzajem opowiadałem jej szczegółowo różne moje przygody.

Cały miesiąc cieszyłem się matką moją. Ponieważ ciągle nie mogliśmy być razem, więc ona chodziła lub siadała pod oknami mego więzienia i rozmawialiśmy na migi. Zaznajomiłem się wtedy z mieszkańcami miasteczka, którzy mi dawali dużo dowodów współczucia po odjeździe matki mojej. To też pamięć moja i wdzięczność dla nich nigdy nie wygaśnie!

Pomiędzy oficerami moskiewskimi potrafiła matka moja zjednać sobie dość współczucia, za ich więc pomocą udawała się do wszystkich cywilnych i wojskowych, którzy jaki wpływ mieć mogli u jenerała Czengierego. Kilka razy nawet była u niego. Czengiery zdawał się brać udział w cierpieniu mojej matki, a przy pożegnaniu powiedział jej:

— Jedź pani spokojną, co się da uczynić, zrobię!

Po odjeździe matki, dnia nie było, żeby mnie kto z miasteczka nie odwiedził; wszyscy jak największą przyjaźń mi okazywali. Ile razy transport więźni do Radomia odchodził, najusilniej starali się o to, żeby mnie i Monseugo nie zabrano, a gdy się o zeznaniach naszych dowiedzieli zaraz przyszli do nas mówiąc:

— Cożeście panowie najlepszego zrobili, sami na siebie wydaliście wyrok! Będziecie jeszcze drugi raz badani, starajcie się przeczyć wszystkiemu, coście pierwej zeznali, a szczególnie nie mówcie, żeście oficerowie ....ccy, bo oni wszystkich takich jak swoich uważają i śmiercią ich karają.

Teraz dopiero poznałem, co za głupstwo zrobiłem, przyznając się do tego, że dymisji nie wziąłem. Nie myślałem z początku że się źle bronię, bo sądziłem, że mię jako dezertera rządowi mojemu wydadzą.

Przywołano nas drugi raz do tłumaczenia się. Nie chcąc czyli wstydząc się odwoływać wszystkie moje pierwsze zeznania, odmieniłem je tylko o tyle, że się przyznałem do wzięcia dymisji i oświadczyłem, iż dopiero na pisemne wezwanie rządu narodowego poszedłem się bić.

— Musicie panowie zupełnie co innego mówić, inaczej się tłumaczyć, słowem musicie kłamać, wszystko to u Moskali najwięcej popłaca — mówiły poczciwe panie, które i o tem protokóle się dowiedziały.

Kiedy nas przywołano po raz trzeci do badania, dodano do wymienionych powyżej pytań jeszcze jedno:

— Dowodziłeś pan jakim oddziałem?

Teraz podano nam papier, pióro, kałamarz, i kazano spisać swoją obronę, co my jak najobszerniej uczynili. Ja tłumaczyłem się w następujący sposób: „że jadąc z Węgier odwiedzić moją familję w Galicji, poszedłem w Krakowie do hotelu ,gdzie po chwili zbliżył się do mnie jakiś jegomość, prosząc mnie na chwilkę rozmowy. Naturalnie że poszedłem za nim i zastałem tam czterech nieznajomych panów. Jeden z nich występuje i powiada mi, że powinnością jest moją jako Polaka, iść bić się z Moskalami, iż on się spodziewa tego po mnie, że zadość uczynię obowiązkom względem ojczyzny, a w końcu dodaje, bym zaraz podał o dymisję.

Tłumaczyłem się jak mogłem, nic nie pomogło. Powiedziano mi, że odtąd straż nieznacznie będzie za mną chodzić a za okazaniem najmniejszej chęci ucieczki, zostanę zasztyletowany. Cóż było robić? Wieczór na kolei w Dębicy, wsadzono mnie na wóz i zawieziono do jakiegoś lasu, gdzie był oddział powstańczy, z którym na drugi dzień wyszedłem. Dowództwa żadnego nie miałem, sam byłem od kilku ludzi strzeżony.

Podobnie tłumaczył się Monseu, z tą tylko różnicą, że jego we własnem pomieszkaniu w Tarnowie miano atakować.

Po podpisaniu tych protokółów, prezes sądu wojennego pyta Monsuego:

— Czy pan naprawdę żadnego dowództwa nie miałeś? Przecież może trzydziestu do czterdziestu ludzi?

— Cóż to za dowództwo nad dwudziestoma ludźmi, tylu miałem, ale to nie jest żadne dowództwo!

Auditor sam już dopisał to nierozważne zeznanie i nieznacznie uśmiechnął się do prezesa komisji. Na moje szczęście, spostrzegłem to, a przeczuwając, że Monseu się złapał, gdy mi zrobiono takież same pytanie, odpowiedziałem, że byłem szeregowcem... i na tem skończyło się moje śledztwo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

„Nie trać nadziei!"

Nie trać nadziei, nie trać, nie,
Śmiele spójrz w oczy niedoli,
Choć gwiazdy zbledną w ciemnej mgle
I serce zranione boli
W burzliwej życia zawiei,
O nie trać, nie trać nadziei.
I nie mów sobie: — inni tam
W pracy zastąpić mnie mogą,
Ale z otuchą zdążaj sam
Do celu cierniową drogą!
Wytrwaj w walce do ostatka,
Broń ziemi, — bo ziemia Matka.
Do życia ostatniego tchnienia
Poświęć się, — pracuj na twej glebie,
By kiedyś przyszłe pokolenia
Nie poszły o żebranym chlebie
Tułać się między obcymi
Na swoich pradziadów ziemi.
Pamiętaj: — Pan Bóg każdej chwili
Opatrzne oko ma nad światem,
Nie Bóg, lecz ludzie się zmienili,
Że brat ci teraz nie jest bratem
I, że w najświętsze sprawy już się wplata
Fałszywość, zdrada i obłuda świata.
Lecz choć nam tutaj ciężko, — źle,
Człek tylko wzdycha lub się smuci,
Nadziei przecież nie trać, — nie!...
Po każdej zimie wiosna wróci.
Powróci wiosna, z nią szczęście, blaski, ziele,
Uśpioną ziemię obudzi wesele.

Grylewianka.

W STEPIE.

...Wyszliśmy z Perokopu w najokropniejszym nastroju ducha — głodni i źli na cały świat. Przez całe pół doby staraliśmy się bezskutecznie wszystek nasz spryt i usiłowania nasze w czyn zamienić, ażeby cośkolwiek ukraść albo zarobić, i kiedy przekonaliśmy się w końcu że ani jedno, ani drugie nam się nie uda, postanowiliśmy iść dalej. Dokąd? Wogóle — dalej.

Postanowienie to było jednomyślne i wypowiedziane nawzajem, ale byliśmy także i w każdym razie gotowi pójść dalej po tej drodze życia, po której szliśmy już dawno. To było także przez każdego z nas postanowione milcząco, i chociaż nie wypowiadało się głośno, odbijało się wyraźnie w ponurym blasku naszych głodnych oczu.

Było nas trzech; zaznajomiliśmy się niedawno, spotkawszy się w Chersonie, w karczemce, na brzegu Dniepru.

Jeden z nas był najprzód żołnierzem przy oddziale kolejowym, później podobno dozórcą drogowym na jednej z kolei nadwiślańskich, rudy i muskularny człowiek, o zimnych, szarych oczach; mówił po niemiecku i odznaczał się drobiazgową znajomością życia więziennego.

Nasz brat nie lubi dużo mówić o swojej przeszłości, mając zawsze mniej lub więcej uzasadnione po temu powody, i dlatego to wierzyliśmy wszyscy jeden drugiemu — przynajmniej pozornie, bo w gruncie rzeczy, każdy z nas i samemu sobie nie dowierzał.

Kiedy nasz drugi towarzysz, chuderlawy i maleńki człowiek, z wązkiemi, sceptycznie zawsze wykrzywionemi ustami, mówił o sobie, że jest byłym studentem uniwersytetu moskiewskiego — ja i sołdat przyjmowaliśmy to za dobrą monetę. Naprawdę jednak było nam to najzupełniej obojętne, czy on był kiedy studentem, czy złodziejem; — ważne było tylko to, że w chwili naszej znajomości był nam równy: — był głodny.

Nieszczęście — to najmocniejszy cement do zjednoczenia nawet wręcz przeciwnych sobie natur, a my wszyscy byliśmy przekonani, że mamy prawo uważać się za nieszczęśliwych.

Trzecim, byłem ja. Ze skromności którą zachowałem z moich młodych lat, nie powiem ani słowa o moich dobrych przymiotach, a nie chcąc uchodzić za naiwnego, zamilczę o moich wadach. Przez wzgląd jednak na materyał do mojej charakterystyki, bodaj to powiem, że zawsze uważałem siebie za lepszego od drugich i w przekonaniu tem trwam stale do dnia dzisiejszego.

I tak, wyruszyliśmy z Perekopu i szliśmy dalej, mając tego dnia na widoku pastuchów, których zawsze można poprosić o chleb i którzy bardzo rzadko odmawiają go podróżnym.

Ja szedłem w szeregu z sołdatem, „student" kroczył za nami. Na plecach miał coś, przypominającego surdut, na głowie spiczastej, trójkątnej i krótko ostrzyżonej, spoczywały resztki kapelusza o szerokich kresach; szare spodnie, w różnokolorowe plamy, przylegały do jego cienkich nóżek, a do stóp przymocował sznurkami, ukręconymi z podszewki swojego kostyumu, znalezioną na drodze cholewę buta; nazwał to obuwie sandałami i kroczył w milczeniu, robiąc dużo kurzu i połyskując swojemi zielonkowatemi, małemi oczami.

Sołdat miał na sobie czerwoną barchanową koszulę, którą, jak mówił, „własnoręcznie" nabył w Chersoniu; na wierzchu miał jeszcze ciepłą watowaną kamizelkę; na głowie, według wojskowych przepisów „z naciągniętym na prawą brew daszkiem," żołnierską czapkę nieokreślonego koloru; na nogach plątały się szerokie czumakowe szarawary. Bosy był.

Ja także byłem odziany a bosy.

Szliśmy, a dokoła nas, na wszystkie strony z olbrzymim rozmachem rozpościerał się step, pokryty rozpieczoną kopułą bezchmurnego, letniego nieba. Szara, pełna kurzu droga przerzynała go szerokiem pasmem. Gdzieniegdzie trafiały się najeżone zagony zżętego zboża, dziwnie podobne do dawno niegolonej twarzy sołdata.

Sołdat szedł i śpiewał chrypliwym basem:

— ...I święte Zmartwychwstanie Twoje opiewamy i chwa-alimy...

Za czasów swojej służby wojskowej pełnił coś w rodzaju obowiązku djaka w batalionowej cerkwi i umiał niezliczone mnóstwo hymnów, psalmów i litanii, których znajomość wyzyskiwał zawsze, jeżeli z jakiegokolwiek powodu nie kleiła się nasza rozmowa.

Przed nami, na widnokręgu wyrastały jakieś figury o miękkich konturach i łagodnych odcieniach, od liliowego do blado-różowego.

— Oczywiście, to Krymskie góry, — zauważył „student" oschłym głosem.

— Góry? — rzekł sołdat, — prze-

widuje ci się, bracie. Chmury to... poprostu chmury. Widzisz, jakie — niby żurawinowy kisiel z mlekiem...

Zrobiłem uwagę, że byłoby o wiele przyjemniej, gdyby chmury w samej rzeczy składały się z kisielu. Uwaga ta zbudziła naraz nasz głód — nasze nieszczęście.

— Ach, do licha! — zaklął sołdat, spluwając, — ani żywej duszy! Nikogo... chyba będziemy, jak niedźwiedzie w zimie, własne łapy lizać...

— A co mówiłem, że należało sięgnąć ku zaludnionym miejscom, — ozwał się mentorskim tonem „student.“

— Tak, mówiłeś! — burzył się sołdat. — Na toś ty uczony, żeby mówić. A gdzież tu są zaludnione miejsca?

Student zamilkł, wykrzywiając gębę. Słońce wzbijało się w górę, a chmury mieniły się na horyzoncie różnobarwnymi, nie dającymi się opisać kolorami. Czuć było zapach ziemi i soli.

I od tej suchej, smacznej woni, głód wzmagał się jeszcze więcej.

Ssało w żołądkach. Było to dziwnie przykre uczucie: zdawało się, że ze wszystkich mięśni ciała wyciekają gdzieś powoli soki, wyparowują, i mięśnie tracą swoją rzeźkość. Uczucie dojmującej czczości wypełniało usta i gardło, w głowie się mąciło, a przed oczami migały czarne punkty. Niekiedy przybierały kształt dymiących kawałków mięsa, bochenków chleba; wspomnienie nasuwało tym „przywidzeniom przeszłości, przywidzeniom niemym,“ właściwy im zapach i wtedy, jakby się nóż obracał w żołądku.

Pomimo to szliśmy, opisując sobie wzajemnie nasze uczucia i rozglądając się bacznie, czy nie widać gdzie stada owiec, nasłuchując, czy nie rozlega się gdzie przenikliwy zgrzyt wozu Tatara, wiozącego owoce na jarmark.

Ale step był pusty i głuchy.

W wilię tego ciężkiego dnia zjedliśmy we trzech cztery funty razowego chleba i pięć arbuzów, a przeszliśmy około czterdziestu wiorst — wydatek większy od dochodu — i położywszy się na targowym placu w Perekopie, przespaliśmy głód.

„Student“ nam radził, żeby nie kłaść się, tylko w ciągu nocy zająć się... ale w porządnem towarzystwie nie wypada mówić głośno o projektach naruszenia prawa własności, więc milczę. Chcę tylko być szczerym i nie w moim interesie prawdomównym. Wiem, że ludzie w naszych czasach wysokiej kultury są bardzo miękkiego serca i nawet, gdy chwytają za gardło swego bliźniego, z widocznym zamiarem uduszenia go — to starają się robić to z możliwą uprzejmością i z zachowaniem wszelkiej przyzwoitości, wskazanej w danym wypadku. Doświadczenie na mojem własnem gardle skłania mię do zwrócenia uwagi na to doskonalenie się obyczajów, i z przyjemnem uczuciem pewności stwierdzam, że wszystko rozwija się i udoskonala na tym świecie.

Najlepszym dowodem tego pocieszającego objawu jest stały wzrost więzień, szynków i domów rozpusty...

I tak łykając ślinę i starając się przyjacielską gawędą przytłumić bóle w żołądkach, szliśmy pustym i głuchym stepem, szliśmy przy czerwonawem świetle zachodu, pełni smutnej nadziei. Słońce zachodziło, zatapiając się cicho w lekkich obłokach, hojnie ozłoconych jego promieniami, a za nami z boków niebieskawa mgła, podnosząc się z ziemi ku niebu, zacieśniała otaczające nas horyzonty.

— Zbierajcie materyał na ognisko — zachęcał sołdat, podnosząc z drogi jakiś patyk. — Trzeba będzie nocować w stepie... a tu rosa. Słomę, najmniejszą garstkę — wszystko zbieraj!...

Rozeszliśmy się po bokach drogi i zaczęliśmy zbierać suche burzany i wszystko, co się mogło spalić. Za każdym razem, gdy trzeba było schylić się do ziemi, w całem ciele powstawało nieprzezwyciężone pragnienie paść na nią, leżeć bez ruchu i jeść ją, czarną i tłustą, jeść dużo, jeść aż do zmęczenia, a potem zasnąć. Zasnąć chociażby na zawsze, byle tylko jeść, przeżuwać i czuć, jak ciepły i gęsty krupnik z ust spuszcza się zwolna po przewodzie pokarmowym do wygłodzonego, skurczonego żołądka, żądnego wchłonąć w siebie cośkolwiek...

— Żeby chociaż korzenie jakie znaleźć... — westchnął sołdat. — Są przecież jadalne korzenie...

(Dokończenie nastąpi.)

Maksym Gorkij.

KRONIKA.

Bywa czasami — przyjdzie na duszę człowieka jakaś niewypowiedziana słowem tęsknica. Myśl trzepoce się jak ptak złapany w sidła — i pragnie ulecieć daleko. — W świat błękitnych marzeń, może na wspomnień cmentarze.

Zimny ranek jesienny. Bezbarwna szarość. — Na ulicach całe rzesze naszych „kulturtregerów.“ — Boże, jak to wygląda! Na cienkich nóżkach, we fraku, na głowie klak. Przed stu laty goście tacy byli jeszcze rzadkością w naszym kraju. I zaiste trudno brać za złe naszym Maćkom i Bartkom, gdy zoczywszy na drodze o zmierzchu postać taką, ten i ów brał za kłonicę z woza lub choćby bat i przeżegnawszy się krzyżem świętym dalejże gonić „złe“ co tak dziwaczną postać przybrało. A potem związanego biesa z tryumfem do wsi wieziono. Było z tego śmiechu we dworze aż szyby brzęczały, gdy w schwyconym biesie poznano Imci... — przepraszam co mi tam za Imci — mówił pan ex starosta — zwyczajnie panie pruski „rat.“ I śmiano się do rozpuku. Nawet ksiądz proboszcz ujął się pod boki i aż się trzęsie od śmiechu.

Tak było przed stu laty. Dzisiaj tych gości z zachodu mamy tak wiele, że nie brak sposobności oswoić się z ich widokiem. Ba żeby tylko o widok chodziło — naszło ich takie mnóstwo, że nam już tchu trudno dostać na ojczystych grzędach. I powtórzyła się znana przygoda psa z jeżem — w tragiczny dla nas sposób.

Dzisiaj nasi „goście“ mają wielkie święto, dla tego wystąpili w tych pięknych frakach i obwiesili się orderami, na których widok przychodzi na myśl dewiza:

„Honny soit qui mal y pense,“ co znaczy po polsku: Wart Pac pałaca, a pałac Paca.

Święto — wielkie święto. — Nawet wśród mało cywilizowanych narodów jest pewne poczucie delikatności. Musi to być ostatni barbarzyńca, który obrabowawszy bezbronnego, naigrawa się z niego, który bezcześci dom jego i na ziemi jego stawia pomniki prześladowcom jego. Słowa podobne wypowiedziano swego czasu, gdy postawiono pomnik Murawiewowi w Wilnie. Były one powiedziane w kierunku Rossyi. Ale mniej to nas obchodzi, u nas nikt Murawiewowi pomnika stawiać nie będzie.

W naszym grodzie przy wjeździe od strony Berlina stanął żelazny kanclerz odlany ze śpiżu. Nad jego metalową głową szumią niecenzuralną pieśnią, bo pieśnią lasów polskich, drzewa. Dokoła polską ziemię nawieźli taczkami polscy robotnicy. A kanclerz stoi nieruchomy — nie słyszy szumu drzew, nie widzi ziemi, na której się opiera, wzrok utkwił w dal — i w pełnym rynsztunku trzyma straż. Mimo całego „fajeru“ obco mu tu na polskiej ziemi. Można być zupełnie pozbawionym wszelkich ludzkich uczuć, można nawet cyniczną bezwzględność posunąć tak daleko, jak żelazny kanclerz wobec nas posunął, a jednak niemiłym jest widok własnej ofiary — łzy — krew.

Najbliższem sąsiedztwem pomnika jest Kaisergarten. Wystawiony w tym samym celu: zur Hebung des Deutsch-

tums in den Ostmarken. U nas bowiem robi się wszystko w tym celu. Buduje się teatr i rotundę z odpowiedniemi napisami; muzeum i dom waryatów; Akademią i kanalizacyą; więzienie i pomniki. Co do tych ostatnich — osiągnięto niezwykłą wprawę. Fabrykuje ich się rocznie olbrzymią ilość, wszystkie na jedno kopyto, jak to mówią i z nadzwyczaj patryotycznych pobudek. Marmury te i spiże mają starczyć za inne objawy czci, których brak podobno, dla urzędowo uznanych wielkości. Nie wiem czy z tego także powodu ustawiono przy spiżowym Bismarcku stróża bezpieczeństwa. Dość że od czasu odsłonięcia nad trzymającym straż kanclerzem czuwa policyant. Nie ma chyba obawy, aby powtórzył się wypadek, jaki się stał w Wilnie przy pomniku Murawiewa. To zupełnie nie w naszym guście; możesz więc stać spokojnie żelazny kanclerzu na polskiej ziemi.

Ciągną rzesze Niemców krzyknąć „hoch" przed spiżowym pomnikiem. W takie dni u nas na ulicach oprócz dorożkarzy i trochę bezimiennej i bezdomnej gawiedzi sami uczestnicy fajeru. Wnet kończy się część oficyalna programu a rozpoczyna się część nieoficyalna po restauracyach i piwiarniach. Wówczas choćbyś nie chciał to słyszysz, że w Poznaniu Niemcy się radują.

Na takie widoki ściska się serce w piersi i na duszę przychodzi jakaś niewypowiedziana słowem tęsknica. — Chodź, uciekaj od tego gwaru obcych ludzi.

W kościele zbudowanym przez Jagiełłę cisza i święty spokój. Lecą w górę smukłe linie gotyku, wiążąc się gdzieś u progu, zda się nieba w przecudną tkankę sklepienia. — Przez olbrzymie okna wpada jasność i złotem dzierzga rozwiewne mgły kadzideł, co jeszcze nie dobiegły stropu — niedopowiedziana jakaś modlitwa. — Ze starego płótna patrzy szlachetna twarz Jagiełły.

Te same nieba zesłały nam niegdyś Grunwald.

Cisza i święty spokój.

Myśl trzepoce się jak ptak schwytany w sidła i pragnie ulecieć daleko. Może w świat błękitnych marzeń — może na wspomnień cmentarze.

Nagórny.

Jeszcze wciąż można zapisywać

„PRACĘ"

na miesiące listopad i grudzień.

W obrębie państwa niemieckiego jest ***każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany*** każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na listopad i grudzień

tylko 84 fen.

Uwaga: Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę" z Poznania.

W 20-ym numerze rozpoczęliśmy druk niezmiernie ciekawej, nader zajmującej i sensacyjnej powieści p. t.

Śpiewaczka ludowa

z bardzo licznemi illustracyami.

Powieść oparta na faktach historycznych z r. 1815, jest tak interesująca, że trudno się od niej oderwać.

Obszerny bardzo początek tej powieści — 18 wielkich arkuszy „Pracy" — dostarczymy nowym abonentom bezpłatnie.

Tak obszerny początek tej nader pięknej powieści przewyższa wartość ćwierćrocznej przedpłaty na „Pracę", każdy więc nowy abonent powinien korzystać skwapliwie z niezwykłej oferty.

Na franko prosimy nadesłać 20 fenygów w znaczkach pocztowych.

Komu zależy na punktualnem regularnem otrzymywaniu „Pracy", niech zamówi „Pracę" na poczcie. Jest to najwygodniej i najlepiej.

Nadzwyczajne

piękne premium,

Każdy z Czytelników, który nam zjedna **trzech nowych abonentów** i udowodni to kwitami pocztowemi, otrzyma jako premium za nadesłaniem 50 fenygów w znaczkach pocztowych na porto

kompletne dzieła Mickiewicza w 4 tomach w pięknej oprawie z wyzłoconym grzbietem (**najnowsze wydanie**).

Kto z Czytelników chce te książki od nas kupić, ten niech nadeśle nam 2 marki na książki oraz 50 fenygów na portoryum, razem 2 marki 50 fen., a otrzyma odwrotnie ***kompletne dzieła Mickiewicza w 4 tomach*** za bezcen.

Każdy z Czytelników, który nam zjedna **jednego nowego abonenta** i udowodni to kwitami pocztowemi, otrzyma jako

premium

piękny obraz historyczny w kolorach, *oraz zajmującą książkę powieściową* za nadesłaniem 10 cio fenygowego znaczka pocztowego na porto.

Jeszcze wciąż można zapisywać

„Czytelnię Polską"

na bieżący kwartał.

„CZYTELNIA POLSKA" zapisana jest na poczcie w spisie gazet na rok 1903 pod rubryką: „Abtheilung II t. poln. 13."

Abonament „CZYTELNI POLSKIEJ" wynosi kwartalnie

60 fen.

Kwity pocztowe na „Pracę" na miesiące listopad i grudzień, oraz na „Czytelnię" na bieżący kwartał zamieszczone są na osobnej kartce pod okładką

Wiadomości.

— ***Dobra Grylewskie z przyległościami*** około 5000 mórg najprzedniejszej ziemi w powiecie Wągrowieckim, z okazałym starożytnym zamkiem, wielką parową gorzelnią, parowym młynem, cegielnią i t. d., należące do p. hrabiego Antoniego Potulickiego z Pruszkowa pod Warszawą — przeszły w cenie ca milion marek na własność *Domu bankowo-komisowego Drwęski i Langner w Poznaniu.*

W Grylewie, które tylko niespełna milę od Wągrówca jest oddalone, znajduje się kościół, szko-

ła i poczta, a obecnie przychodzi jeszcze dworzec.

Ponieważ Grylewo jest jedną z najstarszych siedzib Wielkopolskich, a przytem posiada wspaniałą rezydencyą, — przeto dobra te sprzedane będą o ile możności w całości i to jedynie osobistości takiej, która da nietylko materyalną, ale z góry i dostateczną moralną gwarancyę, że majętność ta nie dostanie się w ręce obce.

Należy się też wszelkie uznanie p. hrabiemu Antoniemu Potulickiemu, że tenże, pomimo znacznie wyższej ceny podanej z innej strony, — oferty tej nie uwzględnił, dbając przedewszystkiem o to, ażeby majętność ta pozostała w rękach polskich, zwłaszcza, że Grylewo leży w samym środku kolonizacyi, obejmującej tamże — przeszło sto tysięcy mórg obszaru.

— **Walne zebranie przedwyborcze** na powiat wrzesiński odbędzie się w niedzielę dnia 25-go b. m. o godzinie 3 i pół na sali Odeum we Wrześni.

Komitet powiatowy wyborczy.

— **Walne zebranie przedwyborcze** na powiat Żniński odbędzie się w niedzielę dnia 25-go b. m. o godz. 2 po południu na sali p. Bukowskiego w Żninie, na które Szanownych wyborców zaprasza

Komitet.

— **Dla pogorzelców w Złoczowie** (w Galicyi) nadesłał: p. St. Kazowski ze Strzelna 2 mrk.

Dalsze datki na ten cel chętnie przyjmujemy.

— **Bractwo kwestarskie.** W niedzielę d. 25-go b. m. odbędzie się *koncert* na dochód „*Żłóbków*“ na starej sali bazarowej z łaskawym współudziałem p. Haliny Drygasównej fortepianistki, Nowackiej śpiewaczki i p. Orwidowej artystki dramatycznej. Oprócz tego wystąpi pierwszy raz z grą na skrzypcach młodziutki, 7mio letni Zdzisiu, syn tutejszego, w szerokich kołach znanego skrzypka artysty p. dyr. Edwina Jahnkiego. Mamy wszelką nadzieję, że cel jako też i siły występujące sprowadzą jak najliczniejszą publiczność na koncert nasz. Biletów po 3 i 2 mk. nabyć można w składzie p. Rosego. Wstęp na salę 50 fen. Skrzydło koncertowe Manda z magazynu p. A. Drygasa w Poznaniu.

Zarząd.

— **Odezwa.** Parafia lubecka w r. z. nawiedzona została strasznym pożarem, w którym spłonęły nietylko budynki wszystkie plebańskie, ale także i kościół z wszystkiemi prawie aparatami. Zabezpieczenie było bardzo niskie i niewystarczające ani w dziesiątej części do odbudowania. Parafianie — to lud roboczy, biedny, kilkunastu małych obdłużonych kmieci. — Robimy, co możemy, ale sami nie podołamy. Do odbudowania budynków parafia dołożyć musiała przeszło 10 tysięcy marek. Teraz mamy rozpocząć budowę kościoła, którego koszta, przypadające na parafią, obliczono w kosztorysie na 33 tysiące marek. Fundusz dotąd zebrany w stosunku do owych 33 tysięcy — to kropla w morzu, bo jeszcze całych 7 tysięcy nie zebraliśmy. Fiskus domaga się, abyśmy się wykazali, czy fundusz potrzebny posiadamy, bo inaczej do budowy nie przystąpi i zaleca zaciągnąć pożyczkę, której my i to słusznie, się obawiamy, bo nam wymarnuje słabych gospodarzy do reszty, a wielu widząc tak ogromny podatek kościelny na 30 lat przeszło rozłożony, posprzedaliby swe chudoby i wynieśliby się z parafii, coby i dla nas i dla ogółu korzystnem nie było. — W tak krytycznem położeniu będąc, zniewoleni jesteśmy kochanych współbraci i rodaków prosić usilnie o pomoc, abyśmy jak najprędzej mogli wybudować dom Boży, mieć własny kościół, cieszyć się znów i pokrzepiać regularnem nabożeństwem. Szczere modły popłyną z serc wdzięcznych do niebios z prośbą o obfite błogosławieństwo Boże dla łaskawych ofiarodawców, a imiona ich zapisane będą w księgę pamiątkową ku wieczystej i pobożnej potomnych pamięci.

Lubcz p. Rogowo, d. 7. 10. 03.

X. Czerwiński.

* * *

Na odbudowanie spalonego kościoła w Lubczu złożyli w dalszym ciągu: Pp. I. K. z Gniezna 10 m, Kurnatowski z Dusiny 5 m., na odpuście ś. Mateusza w Lubczu 24 m. 50 fen., N. N. z Bożacina 25 m., Róże mężczyzn z Lubcza 4 m. 40 f., na zabawie u Ulatowskiego w Lubczu 6 m., A. Nawrocka z Wschowy 5 m., A. Grajek z Strzelec 3 m., M. Folarzyński z Wągrówca 10 m., X. prob. Laskowski z Marysina 10 m., X. prob. Nawrocki z Marzenina 10 m., Dokowicz z Kruchowa 40 m., M. Piniarska z Zalesia 1 m. Prześwietna Kapituła Metropolitalna Gnieźnieńska 200, m., X. kanonik Kloske z Gniezna 20 m., S. S. E. z Gniezna 15 m., X. prob. J Kammer z Miasteczka 5 m., St. R. z Chełmna 1 m., St. Kazowski z Gniezna 5 m., St. Przybyliński z Strzelna 5 m., B. Kasprowicz z Gniezna 5 m., Panie W. Kozłowska i M. Kretschmer z Poznania ornat czerwony z przyborami, bursę do chorych, 2 obrusy na ołtarz, oraz dużo bardzo pięknej bielizny kościelnej z zakładu paramentów pani Karłowskiej.

Łaskawym ofiarodawcom serdeczne „Bóg zapłać!“ przesyłając, proszę uprzejmie o dalsze ofiary.

X. Czerwiński.

Lubcz p. Rogowo.

— **Z dekanatu boreckiego.** (Spóźnione). W dniu św. Michała odbyło się w parafii chwałkowskiej poświęcenie nowej wieży kościelnej, którą nasz czcigodny proboszcz ksiądz Zmura własnym kosztem kazał wystawić. Plan pięknej tej wieży w stylu gotyckim i jej budowę wykonał architekt p. Zdzisław Mueller z Poznania. Plan wieży uznany został za bardzo piękny przez księży biskupów dr. Likowskiego i Andrzejewicza. W dowód uznania dla księdza proboszcza, który poniósł wielką ofiarę, poświęcenia wieży dokonał sam ksiądz Biskup dr. Likowski w asyście licznego duchowieństwa, które zjechało na tę uroczystość. — (Korespondencyą podajemy dla braku miejsca tylko w streszczeniu. — Przyp. Redakcyi.)

† **Rąbin.** W zeszłym tygodniu umarł w Kościanie emerytowany nauczyciel ludowy ś. p. Augustyn Frąckowiak. Zmarły pracował we wsi naszej przez przeszło 40 lat z wielkim pożytkiem dla tutejszej młodzieży. Był on prawdziwym nauczycielem: szczególny dar i sposób jego nauczania rodził tu błogie owoce, obdarzając młode istoty w szeroką wiedzę i zaprawiając charaktery te do przyszłego życia obywatelskiego. W wszelkich przypadkach gminnych był on szczerym opiekunem, służąc radą i czynem, zjednawszy sobie przez to ogólne zaufanie. Kilka lat także spełniał przy tutejszym kościele obowiązki organisty. I tu niezwykłym darem i energią założył w krótkim już czasie piękny śpiew chórowy, słynny wówczas na całą okolicę. Gorliwość jego w tym względzie była tak wielką, że pomimo zajętej potem posady tej przez dzielnego organistę p. L. Samolę, nie usuwał się od pracy, lecz owszem idąc z nim ręka w rękę, zabrał kilku śpiewaków z sobą do Poznania, aby tam przysłuchali się przepięknemu śpiewowi w kościele Najśw. Maryi Panny pod dyrekcyą ongi ks. Józefa Surzyńskiego celem nabycia tem większego pojęcia o śpiewie. Miło tu jeszcze zaznaczyć, że u Zmarłego pojawił się najpierw we wsi naszej pierwszy numer „Pracy.“ Zmarły był też gorliwym czytelnikiem i dzielnym zwolennikiem „Pracy“ i zawsze szczerze każdemu „Pracę“ polecał. Mając Rąbiń takiego męża w swym nauczycielu i jednocześnie w swym pasterzu, ks. prob. Hermanowskim tak zacnego kapłana i patryotę, mógł być prawdziwie dumnym. Były to filary, na których wieś nasza spoczywała i której nazwa niejako ich oboje przedstawiała. Dziś to już wszystko tylko przeszłością. W niespełna rok jeszcze po

śmierci niewygasłej pamięci ś. p. ks. Hertmanowskiego przeniósł się świeżo oto długoletni jego towarzysz do lepszej przyszłości.

Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie!

Wdzięczni Rąbiniacy swemu nauczycielowi.

— **Z prowincyi.** Składamy chętnie datki na budujące się kościoły, ale serce się nam kraje z bólu, gdy nasz ciężko zapracowany i złożony na ten cel grosz dostaje się poniekąd w ręce innoplemieńców. Otóż ks. proboszcz czy też ks. administrator pewnego przebudowującego się kościoła z ofiar publicznych, sprowodził instrumenta muzyczne do muzyki kościelnej od hakatysty z Bydgoszczy, pomimo że w tej sprawie pertraktował z pewną polską firmą poznańską. Fakt smutny, ale prawdziwy!

— **Żnin.** Na kościół w Żninie złożyli w dalszym ciągu:

Pp. W. Olszek z Małych Lasek i Leski z Taubendorfu po 1 m. 50 f., M. Ziebarth z Krzyżanki, H. Sławilska z Kruszwicy po 2 m., M. Janicka z Pobiedzisk, Górski z Chomiąży Szlacheckiej Tomas z Sarbinowa po 1 m., A. Kaczmarek z Eberfeldu i F. Substych z Stralzundu po 3 m., J. i R. Wierzchowscy z Poznania 4 m., Józef Szczodrowski z Żnina 10 m.

„Bóg zapłać!" Proszę uprzejmie o dalsze składki. Niechby *każdy* Czytelnik złożył chociażby tylko małą ofiarę, a potrzebna suma zebrałaby się w krótkim czasie. Ludzi chętnych i życzliwych proszę o zebranie składki pomiędzy znajomymi.

X. Władysław Jasiński,
administrator.

Zmarli.

† Ś. p. *ksiądz Józef Wałeński*, proboszcz w Pniewach, zmarł w 82 roku życia. Urodzony 1822 roku, święcenia kapłańskie otrzymał 1849 roku, a proboszczem w Pniewach był od roku 1858-go. Przed pięciu laty obchodził półwiekowy jubileusz kapłaństwa.

† Ś. p. *ksiądz Leopold Belina Grodzki*, proboszcz w Skokach, zmarł w 82 roku życia. Urodził się 1820 roku, święcenia kapłańskie otrzymał 1849 roku, a proboszczem w Skokach był od roku 1894-go.

† Ś. p. *Antoni Nyklewicz* dnia 13-go b. m. w Poznaniu w 22-im roku życia.

† Ś. p. *Józef Cichowicz* dnia 14-go b. m. w Pszczewie, przeżywszy lat 83.

† Ś. p. *Józef Koszczyński* dnia 13-go b. m. w Polskiejwsi pod Kłeckiem w 53 roku życia.

† S. p. *Antonina Kantecka* — siostra ś. p. księdza Antoniego kanonika i proboszcza strzelińskiego, a pierwotnie naczelnego redaktora „Kurjera Poznańskiego", ś. p. Maksymiliana, profesora, a następnie naczelnego redaktora „Kur. Pozn.", oraz ś. p. Klemensa, znakomitego literata i konserwatora poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk — dnia 15-go b. m. w Gnieźnie w 68 roku życia.

† Ś. p. *Kazimierz Zielewicz*, nauczyciel, dnia 16-go b. m. w Poznaniu.

† Ś. p. *Marya z Nałęczów Działowska* dnia 17-go b. m. w Mirakowie w Prusach Zach. Zwłoki złożono dnia 21-go b. m. w grobowcu familijnym w Sarnowie.

† S. p. *Aleksander Stojanowski*, oficer-wetaran z roku 46, 48 i 63, dnia 17 b. m. w 84 roku życia w Kostrzynie.

Wiadomości literackie.

„Przemysłowiec. Tygodnik popularny dla spraw techniki i przemysłu." Pod tym tytułem zaczął wychodzić z dniem 1-go b. m. we Lwowie pod naczelną redakcyą inżyniera cywilnego Edmunda Libańskiego z współudziałem wybitnych inżynierów i architektów znakomicie redagowany tygodnik przemysłowy, który się znajdować powinien w każdej fabryce, w każdym warsztacie i w każdym handlu i kantorze.

Prenumerata na poczcie wynosi kwartalnie w Niemczech mrk., 3,50 Zaabonować także można wprost w Biurze dzienników Sokołowskiego, Lwów, Pasaż Hausmana 9.

TREŚĆ: Nr. 1. zawiera następujące artykuły:

1. Program.
2. Czego chcemy. *(Redakcya.)*
3. Sprawy przemysłowe: Inicyatywa Samopomocy. *(Inż. A. Roszkowski).* — Nasz rząd a przemysł naftowy. *(Inż. Klaudyusz Angermann).* — Ogniotrwałe budowle przemysłowe. *(Inż. Michał Finkelstein.)* — Wysuszanie drzew prądem elektrycznym. *(InżBronin.)*
4. Ze świata postępu techniki i przemysłu.*(Inż. Edmund Libański.)*
5. Pogadanki przemysłowe. *Edin.*
6. Z przemysłu domowego: Nasz przemysł guzikarski. *(Dr. Felicyan Nossig).*
7. Kronika techniczna i przemysłowa.
8. Opust w drobnej sprzedaży.
9. Rozmaitości.
10. Wynalazki i konkursy: 50.000 rubli dla wynalazcy. — Co warto wynaleźć.
11. Informacye w pytaniach i odpowiedziach.
12. Ogłoszenia firm krajowych.

Nakładem Redakcyi „Poradnika Gospodarskiego" opuściły świeżo prasę *„Kalendarz rolniczy dla większej własności"* na rok 1904 oraz *„Kalendarz rolniczy dla Włościan"* na rok 1904.

Kalendarz dla większej własności z podobizną prezesa Centraln. Tow. Gosp., hr. St. Żółtowskiego z Niechanowa, jest w tym roku znacznie rozszerzony nowemi tabelami. Aby zaś był lżejszym, a wygodniejszym w codziennem użyciu, rozdzielono go na dwie części.

Część I. jest mocno oprawna, zawiera najpotrzebniejsze rolnikowi wskazówki jako też tabele i różne nauki rolnicze, słowem jestto podręcznik, który ciągle trzeba mieć przy sobie.

Część II, obejmuje resztę treści, która wystarczy, aby leżała na biurku rolnika, ta część jest więc też tylko lekko oprawna.

Obie części jednak nic nie są droższe od zeszłorocznego Kalendarza. *Egz. oprawny w ang. płótno kosztuje 2 mk., egzemplarz oprawny w skórkę 3 mk. (porto 20 fen.)*

Kalendarz dla Włościan uległ także zmianom. Przedewszystkiem jest tańszy o 15 fen. niż w z. r. — *kosztuje tylko 75* fen. (porto 10 fen.), zawiera w sobie już rejestra gospodarcze, które w z. r. były dodawane osobno, w tym roku wreszcie dodano także ołówek. Co najważniejsze, Kalendarz ten zawiera, prócz zwykłych tabel, cenne artykuły z wszelkich gałęzi rolnictwa a także traktuje chów koni, bydła, świń i drobiu oraz pszczelnictwo i sadownictwo.

Od Redakcyi.

Panu Stan. G. w Gnieźnie. — Kompletne dzieła Mickiewicza w 4 tomach w pięknej oprawie z wyzłoconym grzbietem kosztują 2 marki 50 fen., za co przyślemy franko. Innych książek na razie nie mamy na składzie.

Panu Józefowi Z. w Nowym Sączu (Galicya). — Możemy Panu zamieścić bezpłatny anons; przyślij Pan tekst, jeżeli się na to zgadzasz; innej rady udzielić nie możemy, u nas nie wakuje żadna posada.

Pani Genowefie S. w K. — Wierszyk nadesłany p. t. „Pożegnanie" jest powszechnie znany, dlatego nie zamieścimy.

Panu M. K. w S. — Nadesłany wiersz p. t. „Kochanka" ma wśród pięknych strof tak rażące estetyczne strofy, że drukować nie będziemy.

Panu R. M. w W. — Szkoda czasu i atłasu!

Towarzystwu Czeladzi katolickiej w Sremie. — Notatka nadeszła za późno, więc nie mogliśmy zamieścić.

— Manuskryptów niezwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.

Redakcya i wydawnictwo „PRACY."

Dział kobiecy.



Kubraczek królowej Jadwigi

Królowa Jadwiga, żona Władysława Jagiełły, stanowi pod każdym względem idealny typ, nietylko monarchini wogóle, ale i kobiety polskiej w szczególności. Dość przypomnieć tak doskonale malujące jej charakter słowa, wyrzeczone do męża z powodu wymierzenia sprawiedliwości pokrzywdzonym wieśniakom: „Nagrodziłeś im krzywdy, ale któż im łzy wylane powróci?“ Nic dziwnego, że dużo legend i podań, odnoszących się do jej osoby, przechowało się w ustach ludu.

Jedno z tych podań nie legendowych zresztą, lecz historycznych, chcemy właśnie tu przytoczyć.

W sam dzień Bożego Ciała, po obchodzie uroczystym wśród bicia dzwonów we wszystkich kościołach krakowskich i okrzyków radości tłumu narodu, królowa Jadwiga, wsiadłszy w kolasę, wolno objeżdżała stolicę swoją. Na moście starej Wisły, zatrzymać się musiała dla zwiększonej w tem miejscu ciżby narodu. Cech kotlarzy otacza tymczasem kolasę i wita królowę serdecznym okrzykiem. Nagle jeden z tego cechu, przypadkiem zepchnięty naciskiem tłumu, wpada w nurty Wisły. Widząc to królowa wydaje okrzyk przestrachu i zaklina o pomoc dla nieszczęśliwego. Lud rzuca się do ratunku, nadpływają łodzie, lecz już martwego z wody na brzeg wynoszą. Królowa z pośpiechem wysiada z karety, śpieszy nieść pomoc biednemu topielcowi, a gdy nic nie skutkuje, wznosi gorącą modlitwę do Boga. Wszelkie jednak usiłowania przywrócenia go do życia były daremne. Wówczas królowa przeżegnała pobożnie trupa rozciągniętego u jej stóp, a zdjąwszy z ramion złotem lamowany karmazynowy kubraczek, nakryła nim zwłoki kotlarza i, płacząc, odjechała na zamek krakowski.

Po południu, na nabożeństwie niesz pornem, cech kotlarski szedł za procesyą z innymi, ale zamiast chorągwi niósł kubraczek Jadwigi. W tymże dniu otrzymał od arcybiskupa poświęcenie tej pamiątki. Od tego czasu trumna każdego kotlarza, umierającego w Krakowie, przykrywaną była tym kubraczkiem, pod którego przykryciem, jak pod skrzydłem anioła, dusza zmarłego miała szczęście wiekuiste osiągnąć.

Relikwia ta bardzo długo przechowywała się w cechu kotlarskim.

Z dziejow branzoletki.

Zwyczaj noszenia na ręce mniej lub więcej ozdobnej bransolety sięga czasów bardzo odległych. Już w epoce krzemienia istniały bransolety bądź ze szlifowanego kamienia, bądź z muszli nanizanych, jak praktykuje się to u nielicznych dzikich ludów, rozsianych jeszcze na powierzchni globu. Persowie nadzwyczajnie lubili tę ozdobę i nosili bransolety nietylko na rękach, ale i na ramionach. Bransolety perskie służyły jako oznaka hierarhiczna; zwyczaj ten panuje do dziś dnia na wschodzie. Muzea zagraniczne posiadają nadzwyczaj piękne bransolety egipskie ze złota, inkrustowane masą perłową i szlifowanemi kamieniami; za motywy ornamentacyjne służą lwy, lotusy i chrząszcze, czczone jako świętość w Egipcie. U ludów azyatyckich ozdobę tę noszą mężczyźni, zarówno jak kobiety, Grecy zaś, przeciwnie, pozostawili noszenie bransolety wyłącznie kobietom, które aż nadużywały tej ozdoby, nosząc ją nietylko na rękach, ale i na ramionach i na nogach. Przechadzająca się Greczynka obecność swą zdradzała już zdaleka, gdyż wszystkie jej ozdoby zaopatrzone były w malutkie dzwoneczki, które, potrącane, wydawały delikatne dźwięki. Greckie bransolety, nadzwyczaj wykwintne, wyrabiano bądź w postaci trzech, dość szerokich kół metalowych, złączonych głową węża, bądź też w kształcie szerokiej taśmy, ozdobionej dwiema głowami sfinksów, które stanowiły spięcie. Rzymskie bransolety były bogatsze aniżeli greckie, które odznaczały się wykwintną prostotą; rzymskie natomiast były przeciążone drogiemi kamieniami, medalami, kameami i amuletami; ozdoby takie nietylko kobiety, ale i mężczyźni nosili na rękach i nogach. Żołnierzom, odznaczonym na wojnie, rozdawano bronzowe lub złote bransolety jako nagrody. Zasłużeni wojacy, mający wiele tych oznak honorowych, nosili je na szyi. Niejaki Sinicius Dentatus miał aż 150 naramienników zdobytych na wojnach. W średnich wiekach bransolety poszły nieco w zapomnienie i ukazały się znowu za panowania Walezyuszów. Za Ludwika XIII-go wszystkie damy dworskie nosiły bransolety z pereł, które zdobyły sobie pierwszorzędne miejsce. Za cesarstwa bardzo były noszone kamee. Z tej epoki datuje, należąca niegdyś do królowej Westfalii, nadzwyczaj ciekawa bransoleta, którą możnaby nazwać istną metryką. Składała się ona z następujących kamieni: z masy perłowej, szmaragdu, labradoru; dalej następowała różowa data 21; dalej znowu: feldspat, szmaragd, emalia czerwona, rubin, iris, szmaragd, rubin i 1783 różowe. Przełożywszy na język francuzki nazwy tych kamieni (nacre, emaraude, labrador, emeraude; 21; feldspath, emeraude, vermeil, rubis, iris, emeraude, rubis, 1783) biorąc pierwszą literę każdego kamienia, tworzy się napis: nee le 21 fevrier 1783 (urodzona 21 lutego 1783-go). Klejnot ten został sprzedany w 1880 roku. Bransolety naszych czasów są bardzo różnorodne, tak co do formy, jak i co do ornamentyki. Najpiękniejsze są bransolety indyjskie, ozdobione prześlicznemi ornamentacyami; niekiedy wyrabiają je z cieniutkiego filigranowego druciku.

Złote listki o kobiecie.

...Gdy Pan Bóg stworzył różę, rzekł: ty kwitnij i rozsiewaj woń! a gdy na końcu stworzył kobietę, rzekł do niej: ty kochaj i miłością żyj!

Z Talmudu.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Ogniotrwałe budowle przemysłowe.

Do najstraszniejszych klęsk elementarnych należą bezwarunkowo pożary. Ogień w kilku godzinach niszczy długoletnią pracę ludzką, miasta i wsie zamienia w gruzy, pozbawia tysięcy ludzi dachu, pracy i chleba.

Straże ogniowe i towarzystwa ubezpieczeń, choć koniecznie potrzebne, zupełnie nie wystarczają. Pomoc towarzystw asekuracyjnych jest tylko fikcyjną i o tatecznym wynikiem każdego pożaru, jest zmniejszenie się bogactwa krajowego.

Chcąc skutecznie zwalczać pożary, należy przedewszystkiem do wykonania wszelkiego rodzaju budynków, a w pierwszym rzędzie budynków przemysłowych, używać li tylko materyałów zupełnie ogniotrwałych. Nietylko mury i pokrycia dachowe, lecz wszelkie urządzenia wewnętrzne, jak stropy, słupy, schody etc. powinny być tak wykonane, by nie ulegały choćby i największym pożarom.

Pominąwszy drzewo, o którem tu wcale mówić nie należy, zauważymy, że ani kamień, ani nagie żelazo nie odpowiadają warunkom ogniotrwałości. Kamień, jako krystaliczny utwór, pod wpływem ognia pęka, a nagie żelazo przy silnym ogniu traci wszelką wytrzymałość. Fakta stwierdzają, że w budynkach, magazynach etc. gdzie szkielet jest żelazny, katastrofy podczas pożaru są największe. Żelazo, jako nader wytrzymałe, dźwiga zwykle znaczne ciężary, a gdy rozgrzane traci na swej sile, natenczas cały budynek się zapada.

Dopiero w ostatniem dziesięcioleciu technika budowlana postąpiła o tyle naprzód, że posiada obecnie materyał, który przy innych dodatnich zaletach posiada i tę własność, że jest praktycznie zupełnie ogniotrwałym. Cenny ten materyał otrzymujemy przez umiejętne połączenie betonu z żelazem.

Beton, jako zupełnie niezapalny niekrystaliczny i nader zły przewodnik ciepła, stanowi zewnętrzną część każdego elementu konstrukcyjnego, a zakładki żelazne stanowiące niejako rdzeń wytrzymałości są umieszczone wewnątrz. Praktyka i liczne doświadczenia przekonały, że beton ma nadzwyczajną przyczepność do żelaza, że oba materyały mają jeden i ten sam współczynnik rozszerzalności, beton też jest bardzo złym przewodnikiem ciepła.

Cenna ta własność konstrukcyi żelazno-betonowych, przyczyniła się głównie do ich tak olbrzymiego rozwoju, szczególnie w dziedzinie budyków przemysłowych. Za granicą jak we Francyi, Anglii, Belgii etc. wszelkie budynki przemysłowe wykonane są z betonu i żelaza według systemu Hennebiqua. W ślad za przemysłowcami poszły administracye publiczne jak poczty, banki, sądy etc., które przechowują obecnie swe papiery wartościowe i akta w budynkach żelazno-betonowych. Archiwa Francyi i Credit foncier w Paryżu są przechowane w specyalnych budynkach, w których nawet szafy wewnętrzne są żelazno-betonowe.

U nas w kraju, gdzie niestety pożary jeszcze tak straszne wyrządzają szkody, każdy budynek żelazno-betonowy można uważać za stały nabytek dla kraju. Jest tych budynków na razie dość mało, ale liczba ich rośnie zwolna. Mamy dobry krajowy cement, z nim i piasku doskonałego wszędzie podostatkiem; a choć sztaby żelazne sprowadzamy z zagranicy, to w wielu wypadkach budynki żelazno-betonowe są znacznie tańsze od tych, których cały szkielet jest żelazny.

Inż. Michał Finkelstein.

(„Przemysłowiec" lwowski.)

Z historyi rękawiczek.

Francya, a szczególnie Paryż był bezsprzecznie prowodyrem okrycia rąk rękawiczkami i nietylko rozwój miejscowy ma do zawdzięczenia fabrykacyi rękawiczek, rozchodzących się po całym świecie, lecz nawet teoretycznie kładzie swoją pieczęć na wytworach ościennych państw. Wiedeń uznał pierwszeństwo i zwierzchnictwo Paryża i według aktów, w archiwach przechowanych, niektóre wytyczne momenty stanowią historyę rękawiczek w Austryi, przemysłu jednego z najważniejszych dotychczas w Wiedniu.

Właściwym początkiem jest wiek XVII, w którym fabryki zajmowały się przygotowaniem rękawiczek na miejscowe potrzeby. Za panowania cesarza Józefa II (zwanego cesarzem ludu) fabrykacya rękawiczek czyni znaczne postępy. W r. 1774 niejaki Johann Sturm, nazwany pierwszym, otwiera skład dla sprzedaży swojego wyrobu W r. 1779 zaczynają inni naśladować francuskich fabrykantów i ta chwila staje się przełomową w historyi rękawiczek w Wiedniu. W listopadzie tegoż roku przybywa Stephan Jourdan z rodziną z Grenobli do Wiednia, któremu rząd austrjacki wypłaca 300 guldenów. Jourdan jest pierwszym, który przygotowywał uczniów, a otrzymywał on od rządu po 30 guld. w ciągu 3-ch lat na koszta, dalej otrzymuje 50 guld. za skończoną naukę, oprócz tego rząd mu płaci rocznie po 100 guld. na mieszkanie. W tymże czasie przybywa drugi Wilhelm Masé, który jednakże nie zdołał się wybić i przez 17 lat nie zdołał zwrócić, zaliczonych mu przez rząd 200 guldenów.

Z chwilą dopuszczenia wolności konkurencyi, ujawnia się sława wyrobów wiedeńskich. Despalmé, Jaquemar i inni popchnęli fabrykację rękawiczek na nowe tory i wytworzyli nową „wiedeńską modę", która po Paryżu zajmuje dotychczas naczelne miejsce w historyi eksportu. Wyrób wiedeński zadaje stanowczy cios fabrykcji niemieckiej nietylko w Ameryce, ale w wielu miastach kontynentu.

W ostatnich czasach Wiedeń obudził się z letargu i cały szereg fabrykantów i detalistów stara się ponownie zająć przodownictwo w przemyśle rękawiczniczym, bardzo ważnym dla Wiednia. Zdaje się, że wobec dokładnego i wyborowego wykonania z łatwością pobiją na głowę niemiecki wyrób, mający za dewizę *billig, aber schlecht.*

K. W.

Pokłady azbestu w Syberyi.

Bogactwa mineralne w Syberyi pomnożyły się w ostatnich czasach odkryciem pokładów azbestowych, nad rzeczką Angarą, dopływem większej rzeki Kitaju. Pozwolenie na eksploatacyę tych pokładów uzyskała irkucka firma „Bracia Kóżniecow" i można wróżyć wielką przyszłość temu przedsiębiorstwu, gdyż odkryty azbest znajduje się na wyżynie, w głębokości tylko 3 arszynów pod powierzchnią ziemi, a jakością dorównywa najlepszym gatunkom azbestu kanadyjskiego.

Dodatek Humorystyczny.

Emigracya jesienna.

Minął letnich czas uniesień,
Następuje pory zmiana,
Od miesiąca u nas jesień
W kalendarzu zapisana.
Słońce nie lśni się, jak w maju,
Czasem chłodny wiatr powiewa
I — jak to jest we zwyczaju —
Emigrują liście z drzewa.

Zanim zima się ustali,
Już dziś chłodne ranki, noce;
Ni w pobliżu, ni w oddali
Żaden bocian nie klekoce.
On nie lubi — rzecz to jawna —
Na zamarłe patrzeć pole,
Emigrował więc oddawna
Z gniazda swego na stodole.

Hen, nad ziemią pod chmurami,
Gdzie nie dojrzeć okiem prawie,
Wciąż długiemi mkną sznurami
Dzikie gęsi i żórawie.
Skończyły się dni upalne,
Łąka słaby pokarm daje,
Więc odbywszy sejmy walne,
Emigrują w ciepłe kraje.

W nędznej chacie Wojtek siedzi
I rozrywa się, jak może;
Trochę zżyma się i biedzi,
Że zły omłót dało zboże.
Jest i było — pusto w kasie,
Trudno dziś na plon rachować,
Przemyśliwa więc w tym czasie,
Gdzieby z wiosną *emigrować.*

Tylko żydków ród jedynie,
Który wszędzie ma korzyści,
Nie myśli o Palestynie,
Jak mu każą syoniści.
Wojtka orznie, pana skraje
I dobrze mu z tem na świecie —
Czemuż — Szmule, Mośki, Szaje —
Emigrować wy nie chcecie?

Z katalogu muzycznego.

Swieżo wyszły z druku i są do nabycia następujące utwory muzyczne:

1. „Czy ja cię kocham“ za 1 markę.
2. „Weź mnie ze sobą drogi aniele“ na fortepian.
3. „Usiądź tu przy mnie“ na trąbę.
4. To „mój kochanek“ nowa edycya.
5. „Tyś mym aniołem“ dla początkujących.
6. „Czytam w twem oku“ po zniżonych cenach.

Trafna przepowiednia.

— Co ci ta stara cyganka przepowiedziała?

— Że wkrótce poniosę wielką stratę.

— No i sprawdziło się?

— Tak, zaraz po jej wyjściu spostrzegłam się, że mi brak zegarka z łańcuszkiem.

W księgarni.

— Proszę o dziełko p. t. „Niezawodny sposób wyjścia za mąż.“

— Wyczerpane.

— To czemu panowie nie wydacie drugiego nakładu?

— Myśleliśmy o tem, lecz z autorką niepodobna porozumieć się....

— A to z jakich powodów?

— Jest bardzo zgryźliwą, zwyczajnie, jak każda stara panna.

Przyczyna.

— Dwa tysiące twój proces kosztował sąsiedzie?
Ha, domyślam się: byłeś snać w porządnej biedzie,
Kryminałem pachniało?
— Nie pleć; Bogu chwała
Szło o kwestye graniczne, sprawa była mała...
— A więc czemu w wydatki zabrnąłeś kolego?
— Bo widzisz, adwokata wziąłem zbyt wielkiego.

Głód.

Żebrak wynędzniały do przechodzącego tłuściocha:

— Pan nie wiesz, co to głód.

— Znam, znam kochanku, nie dalej jak przed miesiącem przechodziłem znów kuracyę na odtłuszczenie.

Sąd Jowisza.

Ach, śmiać się chce serdecznie,
Smiać chce się z całej duszy:
Kłóciło się dwóch mężów
O drobną rzecz o — uszy.

Wytyka jeden — „twoje
Lok kryje nie człowieka,“
— A twych już nic nie skryje
I znać ich — znać — zdaleka!

I znowu hałas, znowu
Po tym hałasie cisza:
Aż wreszcie bratnie krzyki,
Dobiegły do Jowisza.

Ten sądy zbiera żwawo, —
Fakt nadto był doniosły:
Obejrzał mężów obu
I rzekł:
— Obaście osły!...

Pani i niańka.

Pani: Proszę cię, włóż termometr do wody, bo zdaje mi się, kąpiel będzie za gorąca dla dziecka.

Niańka: Kiedy proszę pani ze mną to żadnych tyrmometrów nie potrzeba. Jak wrażę dzieciaka, a poczerwienieje, to woda za gorąca, a jak zsinieje, to za zimna.

W podróży przez ocean.

W podróży przez ocean ojciec i syn dostali silnej morskiej choroby. Ojciec szybko przyszedł do siebie, ale syn popadł w taką apatyą, że lekarz postanowił przestraszyć pacyenta, aby go z tego stanu wyrwać...

— Mam panu straszną wiadomość do doniesienia — rzekł ojciec pański umarł.

— Szczęśliwy człowiek — wyszeptał syn słabym głosem.

Troskliwość macierzyńska.

— Przyłóż pani chłopcu na chorą rękę kataplazm z mleka i lnianego siemienia.

— A czy nie mogłabym dodać cukru do tego? To biedactwo tak jest przyzwyczajone do słodyczy!

Praktyka.

— Czy pułkownik sądzisz, że samojazdy w czasie wojny potrafią znaleść praktyczne zastósowanie?

— Stanowczo, jak się zbierze kilkanaście to wspólnym odorem nafty możnaby ładną porcyę wrogów przepędzić.

Dział powieściowy.

(Przedruk wzbroniony).

SPIEWACZKA ŁUDOWA.

Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1851.

18)

(Ciąg dalszy.)

— Nie, nie wierz mu panie hrabio, — zawołała Teresa. — On nie mówi prawdy! Pięciu odważnych mężów spuściło się wprawdzie w głąb kopalni, ale trujące wyziewy zmusiły ich do odwrotu. Czterech z nich było nieprzytomnych. I nic nie mogło ich skłonić do powtórnej próby. A on nie lękał się niczego! Jak dzielnym i odważnym jest ten prosty górnik!

— Prawda, to górnik! — powtórzył hrabia. — A więc powinienem was znać! Znam prawie wszystkich moich robotników i nazwiska ich, was jednak nie mogę sobie przypomnieć. Zkąd to pochodzicie, że dotychczas nie spotkaliśmy się jeszcze?

— Ja panu hrabiemu wszystko później opowiem, — odrzekł górnik. — Teraz najwyższy czas udania się na ziemię, pod ziemią bawił pan hrabia dosyć długo! Towarzyszka pana hrabiego zawsze jeszcze nieprzytomna!

— Fedora! — zawołał Dernburg. — Spieszmy do niej!

— Spieszmy na świat Boży, — dodała Teresa, i wszyscy szli do windy. Hrabia szedł pierwszy.

Górnik ujął rękę Teresy i uścisnął ją silnie.

— Zapomniałem podziękować pani za tę pieśń cudowną, — szepnął. — Nie zapomnę jej nigdy w życiu! Gdybym miał skarby, złożyłbym je u twych stóp za tę jedną pieśń. Ale ja jestem biedny, nie mam nic — ach nie! Mam klejnot jedyny, który — dziwnym sposobem stał się moją własnością. Weź pani ten pierścionek, jest to złoty wąż — oczy jego są z szmaragdów, a w połowie ciała znajduje się czarny brylant. Noś go pani zawsze, błagam o to!

— Przyjmuję go, — odrzekła Teresa, wsuwając pierścionek na palec, — mam pierścionki od książąt i króli, ale ten będzie mi odtąd najmilszym, bo będzie mi przypominał chwile, które spędziliśmy razem w tem okropnem podziemiu. Czemu jednak nie chcecie wymienić waszego nazwiska? Wspominając dzień dzisiejszy i patrząc na wasz pierścionek, chciałabym wiedzieć, z kim walczyłam tu ze śmiercią......

Dziwny, gorzki śmiech górnika przerwał jej dalsze słowa.

Człowiek ten drżał gwałtownie, usta jego otwierały się, jak gdyby były chciały coś wymówić i już nawet zaczął:

— Nazywam się — — jestem — —

Ale zaraz potem rozśmiał się znowu i milczał.

Hrabia wszedł w windę, i podał rękę Teresie.

— Dalej, mój przyjacielu, — rzekł, — jedźmy! Nigdy jeszcze nie opuszczałem z taką radością podziemia, jak dziś!

Górnik wszedł także, nacisnął sprężynę i winda podniosła się w górę.

Coraz jaśniej — coraz piękniej błyszczały promienie słońca! Witały blaskiem swym tych czworo ludzi, którzy z grobu wracali pomiędzy żywych!

— Ach, dzięki Bogu, — szepnął Dernburg, oddychając z rozkoszą świeżem powietrzem. — Jak szczęśliwym jest jednak ten, kto może żawsze żyć na ziemi! Widzę teraz, że nie mogę nigdy czynić dosyć dobrego moim górnikom i polepszać ich los, ale cieszę się też, że nie mam sobie do zarzucenia żadnej niesprawiedliwości. Starałem się być zawsze moim górnikom łagodnym panem i wiernym towarzyszem. Jak można odmawiać ich słusznym żądaniom i żyć kosztem ich pracy w zbytkach, jeżeli ci biedni nawet słońca nie widzą!

Winda zatrzymała się, i teraz rozległy się ogłuszające krzyki radości. Tłum biegł ku windzie, setki rąk wyciągało się, aby otworzyć drzwi i wyprowadzić uratowanych i wybawicieli ich!

Każdy chciał hrabiego witać, patrzeć na niego dotknąć ręki jego, i przekonać się, że nic mu się złego nie stało.

— Ach, dajcie mi już pokój, — śmiał się hrabia, — pozwólcie mi przejść! Chcecie mnie zadusić? Mam umrzeć tu, po cudownem ocaleniu z kopalni?

— Niech żyje nasz pan! Niech żyje hrabia, — krzyczał tłum z nieopisanym zapałem.

— Przemów pan kilka słów do ludzi, — rzekł proboszcz. — Oni się tak cieszą, że widzą cię żywego i zdrowego.

Dernburg uśmiechnął się.

— Kochani przyjaciele i towarzysze..... — zaczął.

— Niech żyje pan hrabia! — krzyczeli górnicy.

— Cicho! pan hrabia chce mówić!

— Bóg pozwolił mi wrócić do was, — mówił Dernburg dalej, — uratował mnie z okropnego niebezpieczeństwa, dla tego mojem pierwszem słowem jest: Chwała My na wysokości! Bóg byłby mnie ocalił sam, bez ludzkiej pomocy, wybrał mi jednak wybawiciela, który działał w Jego imieniu — człowieka nieustraszonego, który naraził się dla mnie na śmierć — człowieka dzielnego i szlachetnego! Jemu składam dzięki wobec was wszystkich — i chociaż wynagrodzę go hojnie, to długu wdzięczności nigdy mu nie spłacę. Gdzie jest mój wybawiciel?

— Gdzie ten nieznajomy górnik? — pytali ludzie.

I zaczęli go wołać i szukać, ale — daremnie!

Skorzystał on z ogólnego zamieszania i uwagi, jaką zwracano na hrabiego i zniknął.

— Nie można go nigdzie znaleść, — zawołał jeden z górników.

— Odszedł już, widziałem go tam, na drodze, — dodał drugi.

— Zagadkowy to człowiek, — zauważył hrabia. — Poświęca się dla nieznajomych mu ludzi, i ucieka, nie chcąc przyjąć podziękowania! Możnaby rzeczywiście przypuszczać, że to jakaś istota nadnaturalna!

Te słowa trafiły zupełnie do przekonania zgromadzonych. Tajemniczy górnik nie mógł być człowiekiem z krwi i kości. Dla tego znikł tak nagle, jak nagle się zjawił.

— Obok tego górnika nieznajomego, — mówił hrabia dalej, — zasłużyła się wielce koło uratowania nas ta pani — i wskazał na Teresę. Górnik sam nie byłby dał sobie rady! Pomagała ona mu dzielnie i okazała odwagę godną podziwienia.

— Wiecie, kochani przyjaciele, kto to jest?

W tłumie głębokie zapanowało milczenie.

Nikt Teresy przecież nie znał, ale piękność i odwaga zawsze i wszędzie znajdują uznanie.

— To jest królowa! — zawołał Dernburg.

— Królowa! — zawołała jakaś kobieta — to być nie może.

— Tak, królowa sztuki! Nie ma ona na głowie korony złotej, tylko koronę genjusza! *Jest to najsławniejsza z artystek, śpiewaczka opery wiedeńskiej, Teresa Krones. Zachwyca ona każdego swym cudownym głosem* i dodała dziś nowy liść do wieńca swej sławy — miłość bliźniego!

— Niech żyje Teresa Krones! — krzyknęli zgromadzeni.

Hrabia zwrócił się znowu do niej.

— Proszę pani — rzekł uprzejmie, — abyś zechciała być moim gościem na zamku! Uważaj mój dom za twój własny! Nie odmawiaj mi pani tej prośby!

— Przyjmuję ją bardzo chętnie — odpowiedziała Teresa. — tem więcej, że mam zamiar zabawienia kilku dni w tej okolicy, ale ja tu nie jestem sama! W karczmie „po

słońcem" znajduje się moja przyjaciółka, która ze mną przyjechała, więc....

— Więc nie chcesz się pani z nią rozłączać. Przyjaciółka pani bardzo mi miłym będzie gościem. Zapraszam panie na uroczystość, która się wkrótce w zamku moim odbędzie!

Fedorę tymczasem położono na nosze, hrabia podał ramię Teresie i tak ruszono do zamku.

Wieśniacy jednak i górnicy nie rozeszli się jeszcze do domów. Przeciwnie, tłum z każdą wzrastał chwilą. Wieść o cudownem ocaleniu hrabiego rozeszła się lotem błyskawicy po dalszych nawet wsiach i setki ludzi biegły, aby się przekonać, że hrabia żyje. Nie trwało więc długo, a zamek otoczony był takiem mnóstwem mężczyzn, kobiet i dzieci, że wyglądało to zupełnie jak oblężenie.

Po kilku godzinach wyszedł hrabia nareszcie na balkon.

— Kochani przyjaciele, — zaczął swym dźwięcznym i donioslym głosem — mam wam do powiedzenia wiadomość dosyć pomyślną. Pan Dekken mówił mi właśnie, że przeszkody i zapory ,jakie powstały w kopalni, długo trwać nie będą. Chociaż niektóre szyby trzeba będzie zamknąć na kilka tygodni, to jednak w innych będzie można pracować. Za każdy dzień przymusowego wypoczynku zapłacę wam zwykły zarobek. Za pięć dni rozpoczniemy robotę i dzień ten uświęcimy wesołą zabawą, na którą was wszystkich zapraszam. Tu, przed zamkiem odbędzie się nasza zabawa!

— Niech żyje nasz pan! Niech żyje hrabia! Wiwat. Hurra!

Nieopisany zapał opanował zgromadzonych.

Gdy się nieco uspokoiło, mówił hrabia dalej:

— Tego samego dnia zacznie się też szczęście mego życia! Dotychczas byłem zawsze sam — dziś jednak, w chwili największego niebezpieczeństwa znalazłem tę, która chce się połączyć ze mną na wieki i dzielić złe i dobre losy. Zaręczyny nasze odbędą się w dniu zabawy.

— Nasz pan się żeni! Niech żyje!

— Życzę sobie, abyście poznali moją narzeczoną! — dodał hrabia jeszcze. — Nie wybrałem sobie kobiety wysoko urodzonej, patrzącej z góry na biednych — żona moja jest córką ludu, która pracowała sama na kawałek chleba. Narzeczoną moją jest ta, która wczoraj jeszcze była moją służącą.

I hrabia wyprowadził na balkon zarumienioną Fedorę.

Tłum zaczął znowu krzyczeć, klaskać w ręce i rzucać czapki. Radosny zapał nie ustawał ani na chwilę.

— Fedoro — szepnął hrabia — jesteś teraz szczęśliwą?

— Tak szczęśliwą — odrzekła — że chciałabym umrzeć!

— Nie najdroższa, nie mów o śmierci, masz żyć odtąd dla mnie! Będziesz panią tego zamku — jak daleko sięga oko twoje — wszystko twoją jest własnością!

W tejże chwili wyszła na balkon Teresa i zawołała głośno:

— I ja także przyczynię się trochę do uprzejemnienia wam zabawy! Nie mam brylantów i złota, które mogłabym złożyć w ofierze pięknej narzeczonej hrabiego, ale dam jej to, czem Bóg mnie obdarzył, moją sztukę! W dniu waszej zabawy dam koncert na sali „pod słońcem"!

— Dziękuję pani — rzekł Dernburg całując jej rękę. — Nie mogłaś nam rzeczywiście piękniejszego złożyć podarunku, jak taki koncert. My tutaj nigdy nie słyszymy artystki lub artysty, do naszego kąta nikt umyślnie nie przyjedzie! Nigdy w życiu nie myślałem też, że będzie nam wolno podziwiać tu, naszą najsławniejszą śpiewaczkę!

— Więc za pięć dni — uśmiechnęła się Teresa — będziemy mieć początek roboty w kopalni, zaręczyny, zabawę ludową i koncert! Będzie to pamiętny dzień dla podwładnych pana!

Wieczorem, gdy wszyscy udali się na spoczynek wyszła Fedora sama na balkon.

Twarz jej była blada, w oczach błyszczały łzy.

— Pytałeś mnie najdroższy — szepnęła — czy jestem szczęśliwą, — a ja odpowiedziałam ci że jestem bardzo, bardzo szczęśliwą! Ale wiem, że to szczęście nie będzie ani długiem ani stałem, bo gdyby się wszystkie życzenia ludzi spełnić miały, to bogowie zazdrościliby im tego i zniszczyliby nielitościwie ich szczęście! Byleby on tylko był zawsze zadowolonym i spokojnym! Ja zniosę chętnie przykrości życia, ale on musi być i będzie szczęśliwym!

ROZDZIAŁ XLII.

Zbrodnia dla miłości.

W następnych dniach panował w karczmie pod słońcem niezwykły ruch, chociaż wszystko miało pewien pozór tajemniczości. Teresa bowiem zamiast koncertu postanowiła urządzić przedstawienie teatralne, i wydawać karty za pieniądze, Dochód cały przeznaczony był dla górników.

Zbijano więc deski, murowano, stukano i śpiewano w karczmie, próby odbywały się kilka razy dziennie, a Teresa dyrygowała wszystkiem sama i pracowała bez wytchnienia.

Nie było to łatwem zebrać tu towarzystwo dramatyczne, aktorów nie było, więc kto miał odgrywać komedyą? Ale Teresa zaradziła wszystkiemu i po długich namysłach i trudach zebrała kilka osób, które dla niej samej bardzo dobrem były tłem. Bo ona naturalnie najgłówniejszą miała rolę.

Przedewszystkiem pomagała jej Hanusia, która mając ładny głos i dosyć dużo wprawy, otrzymała bardzo wdzięczną rolę, a potem Franciszek Wessely, nadzwyczaj muzykalny, doskonałą jej był podporą.

Franciszek przebywał obecnie więcej w zamku niż na swojej stacyi i czuł się niezmiernie szczęśliwym!

Nauczyciel Bolski okazał się także nie złym aktorem, tak samo jak i inżynier Dekken i syn karczmarki. Górnicy mieli swoją kapelę, więc i muzyka była, i tak odbywano pilnie próby pod przewodnictwem Teresy.

Że we wsi o niczem innem nie mówiono jak o przedstawieniu, to zupełnie jasne. Ze wszystkich stron schodzili i zjeżdżali się ludzie, aby zawczasu zamówić bilety na miejsca, bo nietylko wieśniacy, ale i szlachta i panowie okoliczni — wszystko to spieszyło, aby usłyszeć najsławniejszą śpiewaczkę swego czasu.

I płacono więcej za bilety, niż właściwie było trzeba, z czego się Teresa niezmiernie cieszyła, bo im więcej w kasie, tem więcej korzyści mieli górnicy.

Dzień przed przedstawieniem, po skończonej próbie, znajdowali się na scenie Franciszek i Hanusia.

Franciszek trzymał ręce dziewczęcia i wpatrywał się z zachwytem w jej ładną, rozpromienioną twarzyczkę.

— Zdaje mi się zawsze jeszcze, że to sen, — mówił, przechylając się i całując usta ukochanej, — że trzymam cię w swoich objęciach i rozmawiam z tobą!

— Ach i ja ledwie mogę w szczęście nasze uwierzyć, — szepnęła Hanusia zarumieniona.

— Jak niezmiernie wdzięczny jestem pannie Krones, że cię tu przywiozła! Jak ja tęskniłem za tobą, najdroższa!

— Nie cierpiałeś więcej, niż ja! Byłam bezradną i opuszczoną bez ciebie, a gdy jeszcze ów niegodziwy baron Bondi zażądał mej ręki, gdy ojciec chciał mnie zmusić do zaślubienia go — o, dziś jeszcze drżę na myśl, jak blizką byłam wtedy odebrania sobie życia. Bo nie byłabym mogła zostać żoną innego! Wolałabym doprawdy umrzeć!

Franciszek milcząc, ucałował jej ręce.

— Dla twej miłości — mówiła Hanusia dalej — opuściłam dom ojca, uciekłam poprostu i zostawiłam ojca samego, pomimo, że winnam mu przecież wiele wdzięczności!

— Nie! W chwili ,w której cię ojciec twój chciał zmusić do zaślubienia barona Bondi, zerwały się wszystkie więzy, łączące cię z ojcem!

— Ach nie mów tego! Bądź co bądź to mój ojciec!

— Rodzice wtenczas tylko mogą żądać miłości od dzieci, jeżeli postępują względem nich tak, jak powinni. A jak postąpił twój ojciec względem ciebie? Aż do ośmnastego roku ani cię nie znał nawet, obci ludzie wychowywali ciebie, a gdy sobie pewnego dnia przypomniał, że ma córkę i że ta córka może go pielęgnować lepiej, niż płatna służąca, wtedy pojechał po ciebie i zabrał cię z sobą do swego wspaniałego domu. Teraz miał podwójny obowiązek troszczenia się o twoje szczęście, i jak wypełnił ten obowiązek? Rozłączył nas — nie pozwolił na nasz związek, a niegodziwemu łotrowi chciał cię dać za żonę dla tego jedynie, że jest baronem! Wybacz Hanusiu, że mówię w ten sposób o twoim ojcu, ale nie mogę inaczej. Na jakie niebezpieczeństwo byłaś wystawioną! Gdy sobie uprzytomnię twoją ucieczkę przez dachy z owego nędznego hotelu — ach, dreszcz przerażenia ogarnia mnie! Nigdybym już ojcu twemu za to nie podał ręki!

— O, Boże. Franciszku!

— Nie, najdroższa, ojciec twój przestał dla mnie istnieć! Całe życie natomiast będę wdzięcznym pannie Krones za to, że przyjęła cię u siebie i otoczyła siostrzaną prawdziwie miłością. I co najważniejsze, że cię tutaj do mnie przywiozła!

— O, gdybym ja zawsze przy tobie pozostać mogła! Czy nie masz jeszcze widoków na awans?

— Niestety, na to pytanie nie mogę ci pomyślnej dać odpowiedzi. Dotychczas nie osiągnąłem nic! Nie udało mi się wypełnić zadania, za które otrzymałbym lepsze stanowisko! On zagadkowy dowódzca opryszków, którego miałem schwytać i uwięzić, usunął mi się zupełnie, i dziś mniej mam widoków schwytania go, niż z początku.

— Więc o awansie nie ma mowy — westchnęła Hanusia.

Ani jednem słowem nie zdradziła wobec narzeczonego przygody z rozbójnikiem w lesie, Teresa bowiem usilnie ją prosiła o zachowanie tego w tajemnicy.

Nie chciała ona narażać na niebezpieczeństwo tego, który im życie ocalił i tak wspaniałomyślnie wobec nich postąpił. Dlatego Wessely mianowicie nie miał się o niczem dowiedzieć.

— Nie, nie mam widoków na awans — powtórzył Wessely smutnie. — Przeciwnie nawet, co do osoby dowódzcy opryszków mam dziś mniej pewności niż przed kilku tygodniami. Raz w nocy — byłem już na najlepszej drodze schwytania go. Zdawało mi się, że on jest w mojem mieszkaniu, że rozmawiam z nim, że patrzę na niego — ale gdy się zbudziłem, przekonałem się, że to wszystko było snem tylko, i że rozdrażniona moja fantazja była powodem całej tej omyłki. Życzenie moje nie spełniło się i rozbójnik pozostał mi nadal taką tajemnicą, jaką był poprzednio.

— Ah, to wy tu jesteście, — dał się nagle słyszeć za nimi głos Teresy, i młoda dziewczyna wyszła z za kulis. — Byłabym długo na was mogła czekać! Pójdź Hanusiu, musimy wracać do zamku, pan Wessely odprowadzi nas. Hrabia czeka na nas z kolacyą!

— Hrabia Dernburg, to ideał mężczyzny, — zawołał Wessely z zapałem.

Potem podał ramię Hanusi i wszystko troje poszło do zamku.

— — — — — — — — — — —

W tym samym mniej więcej czasie biegła starannie okryta postać niewieścia do lasu.

Była to młoda, wysoka kobieta, a szła prędko, nie zatrzymując się ani na chwilę.

Po gwałtownej śnieżnej zawieji nastąpiły piękne, pogodne dni, chociaż mróz nie ustawał jeszcze. Śnieg błyszczał miljonami brylantów w promieniach księżyca — młoda kobieta jednak nie zważała wcale na cuda przyrody, inne myśli jakieś zajmowały ją wyłącznie.

Ubranie jej bardzo było wytworne, długie kosztowne futro okrywało ją całą aż do stóp. Teraz zwróciła się nieco na prawo i weszła pomiędzy dzikie, na pozór niedostępne prawie skały.

Ale ona znała drogę. Przeskakując zręcznie z kamienia na kamień, zbliżała się coraz więcej do środka skał i stanęła nareszcie przed jaskinią, utworzoną z ogromnych piaskowców.

Wejście do tej jaskini było śniegiem zasypane, na boku jednak mały znajdował się otwór, przez który, schyliwszy się, można było wejść.

Kobieta zatrzymała się tutaj, i przyłożywszy dwa palce do ust, gwizdnęła przeciągle.

Z poblizkiego drzewa zerwały się dwa kruki z przeraźliwym krakaniem i odleciały w las.

Ale w tej samej chwili, w której rozległo się gwizdnięcie, ukazała się w otworze głowa człowieka. Potem wysunęła się ręka, i młoda kobieta ująwszy ją, pozwoliła się wciągnąć do jaskini.

Jama ta nie była zbyt obszerną, ale dosyć wysoką, aby dorosły człowiek wygodnie mógł w niej stać.

Nie było tu śladów mieszkania — przy ścianie palił się kawał smolnego drzewa i oświecał miejsce to dziwnym jakimś, krwawym blaskiem.

— Więc przybyłeś, — rzekła kobieta, zwracając się do młodego olbrzyma, wpatrującego się w nią z błyszczącemi oczami. — Muszę się z tobą rozmówić — potrzebuję ciebie.....

— Rozkazuj, — rzekł Leon, — ja jestem twoim niewolnikiem i zrobię wszystko, co chcesz!

— Jesteś moim przyjacielem, sprzymierzeńcem, a nawet czemś więcej jeszcze — szepnęła Lea.

— Zawsze tak mówisz — odrzekł Leon z gorzkim uśmiechem. — Przyrzekać umiesz, ale dotąd jeszcze słowa nie dotrzymałaś chociaż wiesz, że kocham cię więcej, niż życie. Zdaje mi się, że zmysły stracę! Czemu ty mnie tak męczysz — wiesz, ile ja cierpię?

I wyciągając ramiona, chciał ją objąć i do serca przycisnąć, ale żydówka cofnęła się żywo.

— Nie zbliżaj się do mnie, — zawołała, — nie zapominaj się! Jeszcze jeden krok, a odejdę i nigdy nie wrócę!

— Tylko nie to! — jęknął Leon. — Nie odchódź — ja na ciebie patrzeć muszę, widok twój jest mi tak potrzebny, jak powietrze do oddychania! Ale nie zapominaj, — dodał błagalnie, — co mi przysięgłaś! Że będziesz moją? Nie pamiętasz twego przyrzeczenia?

— Pamiętam — powiedziałam ci, że będę twoją, jeżeli staniesz się narzędziem mej zemsty, jeżeli pomścisz mnie na tym, który mną gardzi. Oddaj go w ręce policyi, a ja — natychmiast dotrzymam przysięgi!

— Wypełniłem przecież wówczas twój rozkaz! Spoiłem strażników, użyłem aparatu telegraficznego, aby urzędników celnych uwiadomić o tem, że dowódzcą rozbójników jest hrabia Orszański! Cóż ja winienem, że Wessely za głupi albo za wielki tchórz, aby schwytać rozbójnika! Wskaż mi inną drogę, powiedz, co robić, aby życzenie twoje wypełnić! Bóg mi jest świadkiem, że uczynię wszystko! Ale od owego wieczora jestem najnieszczęśliwszym z ludzi! Nikczemnym i podłym jestem! Nasz kapitan kocha mnie, i okazuje mi swoje przywiązanie przy każdej sposobności. Ojciec nie może być czulszym dla syna, jak on jest dla mnie! A ja — ja czekam tylko na to, aby go zabić lub w nieszczęście największe pogrążyć!

— Idź więc do niego, — roześmiała się Lea szyderczo, — upadnij mu do nóg, twemu panu i ojcu, i wyspowiadaj mu się z tego, że ja namawiam cię do popełnienia zdrady! Albo nie mów nic, tylko uciekaj ztąd! Znajdziesz inną dziewczynę pokochasz ją, zapomnisz o mnie — idź! Ja także się oddalę, na zawsze!

I otulając się mocniej futrem, zamierzała wyjść z jaskini.

Ale zanim zdołała się obrócić, już Leon był przy niej. Silnemi jak stal ramionami objął jej postać i pociągnął ją znowu do środka jamy.

— Zostań — zostań, — wyszeptał przytłumionym głosem — ty wiesz dobrze, że ja żyć bez ciebie nie mogę! Tyś mi serce wydarła, zrobiłaś ze mnie zdrajcę i nędznika! Nie myśl, że ja nie wiem, jaki koniec mnie czeka! Przyjdzie dzień, w którym przyłożę sobie pistolet do czoła..... Ale poprzednio chcę jeszcze użyć świata — chcę zaspokoić moją szaloną tęsknotę za tobą! Ty musisz być moją!

— Takim lubię cię, Leonie, — rzekła piękna żydówka, gładząc białą, chłodną ręką rozpaloną jego twarz, — i teraz też powiem ci, w jaki sposób mnie pozyskać! Jeżeli masz odwagę, to jutro już.....

— Ach, do pioruna, na odwadze mi nie zbywa! — zawołał Leon. — Czemu nie chcesz mi pozwolić, abym go zastrzelił, byłbym to dawno już uczynił — jedna kula dla niego, druga dla mnie..... Ach, coś ty ze mnie zrobiła! Tyś szatan prawdziwy, a nie kobieta!

— Bohatera z ciebie zrobiłam, — odpowiedziała Lea. — I szczęśliwego człowieka, bo teraz dopiero poznasz, co to jest szczęście. Leonie, jutro dowiodę ci mojej miłości....

Młody olbrzym rzucił się na kolana i przycisnął usta do bucików Lei.

— Jutro, — szeptał, — ach jutro! Każ mi świat cały wymordować, a nie namyślę się ani chwili!

— O świat nie chodzi ,tylko o jednę istotę!

— O naszego kapitana? Mam go zabić? Zastrzelić? Mam nasypać mu trucizny do wina? Albo zepchnąć w przepaść z skały? Powiedz — jestem gotów na wszystko!

— Milcz, — zawołała Lea. — Życie hrabiego Orszańskiego jest mi świętem! Czy myślisz, że chcąc go zamordować, potrzebowałabym ciebie do tego? Przecież żyję z nim pod jednym dachem, jem przy jednym z nim stole! Nie, mój drogi, z trucizną my kobiety lepiej się potrafimy obchodzić, niż wy!

— Więc co.....

— Ja nie chcę, aby on umarł! Przeciwnie, on ma

życ — ale żyć w niesławie, hańbie i nędzy! On mnie obraził tak, jak żaden mężczyzna kobiety obrażać nie powinien, i za to miałabym go tylko śmiercią ukarać? Ja nie jestem tak łagodnym sędzią! Moje wyroki są bardzo surowe — bardzo.

— Mówiłaś przecież, że mam zabić jakąś istotę..... Kto to jest? — przerwał Leon.

— Tak, pewną dziewczynę!

— Czemu?

— Bo on ją kocha!

— Kto?

Henryk! Nie rozumiem tego? Nie domyślasz się, że chodzi tu o nienawistną mi rywalkę? Że chcę usunąć kobietę, która mi stoi na drodze do szczęścia!

— Do twego szczęścia! — krzyknął Leon, żydówka zaś za późno spostrzegła ,że za wiele powiedziała. — Ty mówisz o twojem szczęściu? Więc pragniesz być kochaną przez twego męża?

Lea hardo podniosła głowę.

— Tak, — rzekła śmiało. — Czemu mam to zaprzeczać? Opowiem ci wszystko, ale dodaję zarazem ,że przyrzeczenia mego dotrzymam, przysięgam ci to! Jeżeli jutro na wieczór zabijesz tę dziewczynę, to ja jestem twoją! Widzisz, ja kocham mego męża, ale zarazem nienawidzę go. Nie mogę żyć bez niego — kocham go tak, jak ty mnie! A on odepchnął mnie od siebie i widocznie mną gardzi. Brat mój zmusił go do ożenienia się ze mną — uczynił to jednak bardzo niechętnie, bo kochał inną. Przywiózł on mnie tu do zamku swoich przodków i wskazał pokoje, które miałam zamieszkać sama.

— Tutaj będziesz żyła odtąd pani hrabino, — rzekł krótko.

Zdumiałam. Potem spojrzał na mnie pogardliwie i dodał:

— Wiesz, że ożeniłem się z tobą wbrew mej woli! Uczyniłem to jedynie dla tego, aby ocalić życie kobiety, którą kocham nad życie! Poświęciłem się dla niej! Ale władza twego brata dalej nie sięga! Jesteśmy małżeństwem, to prawda, żyć jednak razem nie będziemy nigdy!

— Więc co mam zrobić! — zawołał Leon. — Uczynię wszystko, chociażbym miał zamordować rodzoną siostrę!

— Miłość — to najwznioślejsze uczucie, przekształca ludzi w bohaterów, i w zbrodniarzy! Może ona wznieść człowieka ponad świat cały, ale może zepchnąć go też do najbrudniejszej kałuży.

Lea była teraz dziwnie spokojną.

— Słyszałeś może, — zaczęła po chwili, — że jutro w karczmie pod Słońcem ma się odbyć przedstawienie teatralne!

— Cóż mnie to obchodzi! — zawołał Leon szorstko. — Niech idzie kto chce przysłuchiwać i przyglądać się aktorce, o której mówią, że jest najsławniejszą śpiewaczką w świecie! Ja tylko jednę znam kobietę, na którą chcę patrzeć, a tą jedną, jedyną jesteś ty, Leo!

— A jednak musisz być jutro na przedstawieniu, ja chcę tego!

— Dobrze!

— I weźmiesz twój pistolet!

— Pistolet? Nie wpuszczą mnie z bronią na salę!

— Schowaj go do kieszeni!

— Dobrze!

— Przypadkiem pistolet ten wystrzeli.....

— Przypadkiem! Ach, dobrze, rozumiem!

Ale kula musi przeszyć serce Teresy Krones!

— Naturalnie, rozumiem! Kula przeszyje serce Teresy Krones!

— Jesteś przecież celnym strzelcem, nieprawda?

— O tak! Nie chybiłem jeszcze nigdy!

— A co zrobisz, gdy pistolet wystrzeli?

— Ucieknę!

— Dokąd? Będą cię ścigać i szukać wszędzie. Jeżeli wpadniesz w ręce twoich prześladowców, to jesteś zgubionym, bo tłum rozszarpie cię na miejscu, nie czekając na przyjście policyi ani procesu!

— Nie dogonią mnie! Ja się ukryję tu, w tej jaskini, i tu mnie nikt nie znajdzie! I tutaj będę oczekiwał twego przyjścia

— Przyjdę z pewnością, Leonie!

Lea oparła głowę o jego ramię i z zalotnym uśmiechem patrzała mu w oczy.

— Ach, za jedno twoje spojrzenie zastrzelę sto ludzi, — szepnął zaślepiony młodzieniec. — Jedno życie — to za mało! Jak ja ciebie kocham!

— Muszę wracać do domu, — rzekła Lea teraz i cofnęła się znowu. — Mogę zatem liczyć na ciebie? Wypełnisz to moje największe życzenie?

— Jutro o tym czasie będzie Teresa Krones martwą!

— Ale jeżli cię dogonią, schwycą, jeżli cię do więzienia wtrącą i zapytają potem kto cię namówił do popełnienia tej zbrodni, co odpowiesz?

— Powiem, że ją nienawidziłem, że chciałem się na niej zemścić — ah, ja nie wiem, co powiem!

— Ale mojego nazwiska nie wymienisz?

— Prędzej dałbym sobie język wyrwać, zanim bym to uczynił!

Lea raz jeszcze spojrzała na niego swemi ślicznemi czarnemi oczami, raz jeszcze uśmiechnęła się słodko, uścisnęła mu rękę i wyszła tryumfująca i zadowolona ze siebie.

— Jutro! — zawołał Leon patrząc za odchodzącą z uczuciem nieograniczonej miłości.

— Jutro! — powtórzyła, i znikła w cieniach nocy.

ROZDZIAŁ LXIII.

Strzał w teatrze.

Już o czwartej po obiedzie była sala w karczmie pod Słońcem przepełniona publicznością.

Karczmarka załamywała ręce z rozpaczy, nie mogła bowiem zdążyć z roznoszeniem żądanego jedzenia i picia.

— Karczmę mi przewrócą, — mówiła, — nie wiedzieć doprawdy, co najpierw brać do rąk!

Od rana już panował w całej wsi ruch niezwykły. Proboszcz odprawił mszą świętą na intencyą hrabiego i jego pięknej narzeczonej, a gdy potem miał krótką, wzruszającą przemowę do narzeczonych, zaczęła Fedora rzewnie płakać, i długo się uspokoić nie mogła.

— Czemu? Przecież cieszyć się powinna, — szeptano w kościele.

Fedora nieustannie walczyła z sobą, czy wyznać hrabiemu prawdę, i powiedzieć mu, kim jest, czy też milczeć i zostawić go w przekonaniu, że zaręczył się z służącą. W końcu jednak postanowiła milczeć, ale to ukrywanie prawdy wobec człowieka, którego kochała, ciężyło jej strasznie na sercu.

Potem odbył się wielki obiad w zamku.

Hrabia chciał tu wszystkim przedstawić Fedorę, lękał się jednak trochę, czy ona będzie się umiała zachować wobec licznych gości tak, jak na hrabinę Dernburg przystało. Czy będzie miała dosyć godności i uprzejmości — bo ludzie wybaczą wszystko, tylko nie śmieszność!

Ale Fedora okazała tego dnia tyle taktu, tyle wrodzonego wdzięku i wytworności, że hrabia zdumiał.

— Ona ma ruchy i maniery księżniczki, — myślał, patrząc na nią. — Lepszego wyboru nie byłbym mógł zrobić!

I sąsiedzi winszowali mu także szczerze takiej żony!

Teresa Krones była dziś również przedmiotem ogólnej uwagi. Każdy pragnął z nią chociaż kilka słów zamienić, a wszyscy podziwiali niezmierną skromność tej, która wszędzie była najpierwszą, i której hołdowali książęta i królowie.

Hanusia siedziała obok Franciszka i czuła się niezmiernie szczęśliwą.

I podczas kiedy w zamku ucztowano, rozstawiano na dziedzińcu stoły, dla górników, wieśniaków i robotników z fabryk . Hrabia podejmował setki ludzi, a wszyscy mieli aż nadto mięsa, ciast i wina.

Była to uroczystość wielka — i wzniosła.

O wpół do czwartej udali się biesiadnicy na salę pod Słońcem, żadna siła ludzka nie byłaby ich od tego powstrzymała. Kilka rzędów krzeseł było zamówionych dla hrabiego i jego gości, przedstawienie bowiem miało się zacząć dopiero o siódmej.

Nareszcie, gorąco oczekiwana chwila nadeszła.

Hrabia i liczni jego goście weszli na salę, i muzyka zaczęła grać.

Potem podniesiono zasłonę.

W pierwszych scenach występowała tylko Hanusia z Franciszkiem i Bolskim, a chociaż śpiewali ładnie i odegrali role swoje bardzo dobrze, to jednak cała publiczność drżała z niecierpliwości ujrzenia i usłyszenia Teresy.

Ach, otóż i ona!

Ogłuszający grzmot oklasków powitał młodą śpiewaczkę.

A cóż dopiero, gdy skończyła swoją pieśń! Karczmarka lękała się rzeczywiście zupełnie słusznie o swój dom, bo można było powiedzieć, że się ściany trzęsły i podłoga się gięła.

Czegoś podobnego nikt tu jeszcze nie słyszał. Nie wiedzieli nawet ludzie, że tak śpiewać można, to też zachwyt był nieopisany!

Podczas kiedy Teresa w pierwszym akcie występowała w roli wiejskiej dziewczyny, miała się ukazać w drugim jako narzeczona wielkiego pana w ślubnej sukni.

Narzeczonym był Wessely.

Scena, w której młodzi małżonkowie marzą o wspólnem szczęściu, należała do najpiękniejszych, w jakich Teresa wogóle występowała. Gdy na przyciemnionej trochę scenie stała oparta na ramieniu Wesselego, wyglądała w swej białej, powłóczystej sukni i koronkowym welonie, jak nadziemskie zjawisko. Śpiew jej wzruszał i czarował słuchaczy, i teraz dopiero rozumiano, dla czego w Wiedniu ludzie o niczem innem nie mówili, jak o Teresie Krones.

Przedstawienie zbliżało się ku końcowi, jeszcze jedna tylko miała być scena.

Głęboka cisza panowała na sali — słuchacze oddychać nie śmieli, nie chcąc stracić jednego tonu tego cudownego głosu, gdy nagle rozległ się strzał i —



Z cichym okrzykiem upadła Teresa na ręce przerażonego Franciszka!

Z cichym okrzykiem upadła Teresa na ręce przerażonego Franciszka!

Żadne pióro nie zdolne opisać tego, co się teraz na sali działo!

Przerażenie, oburzenie i wściekłość opanowały publiczność.

Ludzie zrywali się z krzeseł, krzyczeli i przeklinali mordercę, muzyka przestała grać, kobiety płakały, i setki rąk wyciągnęło się, aby ratować ranioną.

A nad tem wszystkiem unosił się lekki dym z wystrzelonego pistoletu.

— Trzymajcie mordercę, — krzyknął ktoś z tłumu.

— Trzymajcie go! Gdzie morderca?

Ale zanim przerażony tłum odzyskał o tyle przytomność, aby się obejrzeć za sprawcą tego nieszczęścia, już Leona w sali nie było.

Publiczność słyszała strzał, widziała krew na białej sukni Teresy, ale nikt jakoś nie myślał o tem, że pomiędzy widzami znajduje się morderca, który posiadał smutną odwagę zamordowania niewinnej, bezbronnej kobiety.

Ale teraz oprzytomnieli wszyscy.

— Trzymajcie mordercę! — krzyczano ze wszystkich stron. i jeden patrzał z podejrzeniem na drugiego, jak gdyby się nawzajem podejrzywano o popełnienie tej zbrodni.

I ostatecznie wykazało się, że strzał padł z jednej z ostatnich ławek. Jak dzielnym musiał być strzelec, który z takiej odległości tak dobrze ugodził w swoją ofiarę.

Dernburg zerwał się z krzesła i biegł na scenę. W pierwszej chwili zdawało mu się, że to wszystko snem tylko, ale teraz poznał całą prawdę, poznał, że znajdował się istotnie ktoś, kto pragnął Teresę zamordować.

— Trzeba go schwytać!

To było pierwszą jego myślą.

I wracając na swoje miejsce, wskoczył na krzesło i krzyknął:

— Zamykajcie drzwi! Niechaj nikt sali nie opuszcza! Kto widział mordercę?

— Ja, — odezwały się dwa głosy równocześnie, był to stary Wilski i nauczyciel Bolski.

A Wilski dodał prędko.

— Morderca wyskoczył tem oknem, widziałem go wyraźnie. Nie może on jeszcze być daleko, znajdziemy go może w ogrodzie! Szukajmy go!

— Szukajmy go!

— Zabić mordercę!

I już z dwudziestu mężczyzn wypadło do ogrodu.

Bolski, Dernburg i Wilski biegli także za innymi, chociaż hrabia nie wiele miał nadzieji znalezienia mordercy. Za wiele czasu upłynęło od chwili jego ucieczki.

Teresa tymczasem leżała nieprzytomna na scenie.

Obok niej klęczała zapłakana Hanusia i na wszystko w świecie błagała obecnych o sprowadzenie doktora. Proboszcz był tego samego zdania!

— Zmiłujcie się! — wołał, — idźcie po doktora! Ona umrze!

Szczęściem dla Teresy znajdował się pomiędzy publicznością lekarz, którego hrabia sprowadził dla swoich podwładnych, a który mając poprzednio znakomitą praktykę w Warszawie, nie potrzebował właściwie przyjmować tego miejsca na wsi. Był to młody przystojny brunet i bardzo podobno wykształcony w swoim zawodzie.

Jednem słowem — doktor Fried.

Wbiegł on szybko na scenę i zbliżył się do zemdlonej.

— Ach panie doktorze, — wołała Hanusia, — ratuj moją przyjaciółkę! Zmiłuj się pan, ratuj!

— Jeżeli tylko będę mógł pomódz, — odrzekł Fried. — W każdym razie uczynię wszystko, aby uratować życie Teresy Krones.

Na prośbę proboszcza opuściła publiczność salę i lekarz rozpoczął badanie rannej.

— Wszakże ona żyć będzie, panie doktorze! — szepnęła Hanusia, zalewając się gorącemi łzami. — Bóg przecież nie będzie tak nielitościwym, aby mi odbierał moją jedyną, najlepszą przyjaciółkę!

Fried milczał. Rozpiął on przedewszystkiem ostrożnie suknią i zbadał ranę.

I ku największej radości swej poznał, że rana ta nie była śmiertelną, że morderca nie osiągnął zamierzonego celu.

— Panna Krones nie umrze! — zawołał. — Nie płacz pani, daje ci słowo, że ona wyzdrowieje! Ale musimy natychmiast przystąpić do operacyi, aby wyjąć kulę, i to niestety sprawi pacjentce wiele bólu. Dziękujmy jednak Bogu że wszystko się tak jeszcze skończyło — rana nie jest ciężką i tylko przestrach i ból wywołały zemdlenie!

— Dzięki Bogu! — westchnęła Hanusia.

Teraz zbliżyła się Fedora.

— Każemy zaraz przenieść pannę Krones do zamku — rzekła, ja sama będę jej doglądać razem z panną Wolf. Jeżeli operacya jest potrzebną, to niech ją pan tutaj wykona, zmniejszy to niebezpieczeństwo transportu. W jaki sposób możemy ją przenieść do nas?

— Najlepiej na noszach. Może karczmarka ma jakie łóżko — czterech lub sześciu ludzi może je z chorą nieść tym sposobem najmniej dozna wstrząśnienia!

Pół godziny później posuwał się smutny orszak z karczmy do zamku. Sześciu silnych górników niosło ranną i nieprzytomną Teresę na zamek. Za nimi szły Fedora z Hanusią.

Proboszcz Wesely i doktor Fried towarzyszyli im także.

ROZDZIAŁ XLIV.
Dwie maski.

Pod przewodnictwem hrabiego tymczasem, wybrało około dwudziestu górników w pogoń za mordercą, za tym, który odważył się targnąć na życie Teresy.

Nauczyciel Bolski był pierwszym, który wyskoczył oknem za uciekającym. W chwili, gdy stanął w ogrodzie, ujrzał jakąś postać biegnącą ku płotu, i nie mógł ani chwili wątpić o tem, że to był ów morderca. Uciekający bowiem miał pistolet w ręku.

— Stój, — krzyknął Bolski, pędząc za nim, — stój, kara i tak cię nie minie.....

— Precz, — odpowiedział morderca. — Jeżeli mnie dotkniesz, padniesz trupem — pistolet na nowo nabity i kula moja nie chybi celu!

Przy tych słowach odwrócił się morderca i Bolski miał nadzieję, że pozna go — znał przecież wszystkich robotników i górników w okolicy. Ale ku swemu największemu zdziwieniu ujrzał, że morderca bardzo był ostrożnym — miał bowiem maskę na twarzy. —

I Bolski na widok ten cofnął się przerażony.

— Dowódzca opryszków tatrzańskich! — krzyknął.

Wiedział on tak samo jak wszyscy inni mieszkańcy wsi, że tajemniczy rozbójnik nie ukazywał się nigdy bez maski.

Czy to napadał dwory, czy podróżnych na drodze, zawsze była twarz jego starannie zasłoniona czarną larwą. Bolski musiał więc przypuszczać, że mordercą Teresy nie był nikt inny, jak właśnie ów sławny herszt opryszków.

Ale z drugiej znów strony nie słyszał nikt, aby rozbójnik ten popełnił coś podobnie podłego — nie zabijał on nigdy bezbronnych, a tem mniej kobiet.

— Dowódzca opryszków! — krzyknął Bolski po raz drugi.

Ci, którzy biegli za nim, usłyszeli jego krzyk.

Ach, jaki tu świetny można było zrobić interes! Nietylko, bowiem, że chodziło o schwytanie mordercy, ale co ważniejsze, o schwytanie osławionego opryszka, którego żandarmi i urzędnicy celni daremnie dotąd szukali!

Nareszcie można go było oddać w ręce sprawiedliwości!

Była to myśl, która goniących do szału nieomal doprowadzała.

Schwytanie opryszka znaczyło oswobodzenie całego kraju z pod tej plagi, pod którą wszyscy cierpieli i przed którą nikt bezpiecznym nie był.

Ale wiele czasu do namysłu nie zostawało ścigającym — rozbójnik przeskoczył przez płot, bardzo wysoki, i zniknął w cieniach nocy.

— Za nim! Za nim! — krzyczał Bolski, — nie możemy pozwolić mu uciec! Takiej sposobności schwytania go nie znajdziemy już nigdy! Dalej za nim!

— Szukajmy go! Musimy go znaleźć!

Pierwszym, który przez płot przeskoczył, i za uciekającym pogonił, był hrabia Dernburg.

— Jeżeli go hrabia szuka, — zawołał stary Wilski, — ... nie ujdzie!

I rzeczywiście, gdy teraz jeden po drugim przeskoczyli przez płot, ujrzeli, że hrabia zbliżył się do mordercy na odległość mniej więcej pięciu kroków.

I uciekający i goniący pędzili, ile sił starczyło. Zbrodniarz jednak o tyle w korzystniejszem był położeniu, że miał pistolet, podczas kiedy hrabia był bezbronnym.

Zamiar rozbójnika był jasnym — usiłował on dostać się do lasu, oddalonego jeszcze o pięć minut, tam był on bezpiecznym, bo w skałach nikt by go już znaleźć nie mógł. Tam on znał lepiej drogę, niż inni.

Zbierał więc wszystkie siły, aby dobiedz do celu — nogi jego ledwie ziemi dotykały.

Ale hrabia nie ustępował mu pod względem szybkości.

Przysiągł on sobie, że bądź co bądź dogoni opryszka — jemu nie chodziło o dowódzcę rozbójników tylko o mordercę Teresy.

— Nędzniku, — wołał, — jeżeli cię schwycę — zabiję cię — uduszę — własnemi rękami.

Ale szyderczy śmiech całą był odpowiedzią uciekającego.

— Panie hrabio, — krzyknął teraz Bolski, — na miłość Bozką ,panie hrabio, nie narażaj twego życia — ten człowiek jest uzbrojonym, a pan..... ah — już za późno.....

W tejże chwili rozległ się po raz drugi dzisiejszego wieczora huk strzału, i hrabia upadł na ziemię.

— Zabił go! — krzyknął Bolski przerażony. — To druga jego ofiara!

Górnicy oniemieli z oburzenia i strachu.

Ale zanim zdołali przybiedz na miejsce nieszczęścia, podniósł się hrabia i rzekł:

— To nic, nic, ścigajmy go!

— Pan hrabia ranny?

— Mała rana na lewem ramieniu, ale Bóg doda mi siły do schwytania tego nikczemnika!

I znów rozpoczęła się szalona gonitwa.

Opryszek jednak wiele zyskał na czasie. Bo chociaż Dernburg zaraz się podniósł i biegł dalej, to jednak trwało to wszystko jednę do dwóch minut, a to dla uciekającego bardzo wiele znaczyło.

I zbrodniarz zniknął w lesie. Górnicy widzieli go jeszcze wchodzącego na skałę, potem jednak zupełnie stracili go z oczu.

— Uciekł nam! — krzyknął Dernburg.

— Kto się odważy na ściganie go w skałach?

— Kto? Nikt się jakoś do tego nie zgłaszał!

— Nie ma żaden z was jakiej broni? — zapytał Dernburg. Nie ma kto z was pistoletu przy sobie?

— Niestety, nikt!

— Pistoletu nie mamy, — odrzekł Bolski, — ale ponieważ wiemy, że on się znajduje na szczycie tej skały, przeto moglibyśmy go śniegiem zasypać!

Dernburg zgodził się na tę propozycyą i wszyscy zebrali się natychmiast do tworzenia kul z śniegu.

Potem rzucali je na skałę.

Morderca cały mgłą śnieżną okryty ukazał się znowu, ale wspinał się zupełnie spokojnie coraz to wyżej. Kule z śniegu chybiły zatem celu.

Gdyby to były kamienie! Wtedy może udałoby się rzucić i trafić go tak, żeby upadł i przytomność stracił, ale miękki śnieg żadnej mu nie wyrządził krzywdy.

— Uciekł! — powtórzył Dernburg, — nie możemy pomścić panny Krones i znów nam się dowódzca opryszków z rąk wysunął. Jeżeli szczęśliwy jaki przypadek nie pozwoli nam go ująć, to nigdy wogóle jej nie pomścimy, bo człowiek ten zna w skałach i lasach wszystkie kryjówki i czuje się tam zupełnie bezpiecznym.

Z szczytu skały rozległ się w tejże chwili głośny, szyderczy śmiech, i rozbójnik porwawszy kamień ogromnej wielkości, zrzucił go z góry, wprost na stojących na dole.

Ale górnicy widzieli to i odskoczyli na stronę, inaczej byłoby przynajmniej dwóch lub trzech zupełnie rozmiażdżonymi. Taką siłą nie wielu mogło się poszczycić.

— Tchórzu nikczemny! — krzyknął Dernburg, — shańbiłeś się dzisiaj po raz trzeci! Widzieliśmy dotąd, że jesteś rozbójnikiem — ale dawałeś chociaż dowody odwagi, i żałując cię, mieliśmy dla ciebie jednak odrobinę szacunku.

Ale dziś, łotrze, dziś pokazałeś, że jesteś podstępnym mordercą. Strzelasz na słabą, bezbronną dziewczynę to nie jest bohaterskim czynem, i jeżeli masz trochę jeszcze dumy, powinieneś wstydzić się tego czynu!

Rozbójnik pogroził hrabiemu pięścią i zniknął pomiędzy drzewami.

Dernburg skinął na swoich towarzyszów — musieli oni z niczem wracać do domu, widząc, że mordercy schwycić nie zdołają.

Ale zaledwie uszli kilka kroków, gdy stanęli, przestraszeni okropnym krzykiem, jaki się rozległ na skale, a obejrzawszy się, dziwny ujrzeli widok.

Na skale, pokrytej śniegiem, ukazała się jeszcze jedna postać.

Był to także mężczyzna — z maską na twarzy.

Gdy morderca go ujrzał, krzyknął przerażająco i zaczął uciekać. Ale nowoprzybyły rzucił się w pogoń za nim i w jednej chwili rzucił go na ziemię.

Potem związał mu ręce i nogi i przerzucił go sobie przez plecy. W następnej chwili nikogo już na skale nie było.

Wszystko to stało się tak prędko, że Dernburg i jego towarzysze nie mogli wyjść z podziwu. Równocześnie jednak poznali, że mylili się dotąd co do osoby rozbójnika.

Nie dowódzca opryszków strzelał na Teresę, nie jego to ścigali. Był to zupełnie ktoś inny, a prawdziwym hersztem bandytów był dopiero ten drugi mężczyzna w masce!

— Przyjaciele kochani — rzekł Dernburg po długiem milczeniu, — zdaje mi się, że wyrządziliśmy dziś krzywdę człowiekowi, którego czynów zresztą wcale nie pochwalam. Ale ten, który strzelał do panny Krones, nie jest hersztem opryszków, tylko ktoś inny. Chcąc nas oszukać i na mylną wprowadzić drogę, wziął także maskę. Zdaje mi się jednak, że łotr ten otrzyma zasłużoną karę, że nie ujdzie sprawiedliwości potężniejszej i surowszej, jak nasza! Widzieliście, jak dowódzca rozbójników rzucił go na ziemię, jak go związał i zabrał z sobą! Słyszeliście przerażający krzyk zbrodniarza na widok swego sędziego! Wróćmy spokojnie do domu! Dałby Bóg, abyśmy pannę Krones przy życiu jeszcze zastali.

Milcząc szli wszyscy z powrotem.

Zagadkowego spotkania się obydwóch zamaskowanych mężczyzn na skale nie mogli sobie jeszcze dokładnie wytłumaczyć.

— — — — — — — — — — — — —

Leon pragnął bądź co bądź wypełnić żądanie pięknej żydówki . Był to w gruncie nie zły chłopak, serce miał nawet dobre i zanim poznał Leę, nie znał żadnej namiętności. Że pod przewodnictwem Henryka napadał dwory i rabował podróżnych, że gdy mu wypadło, nie wzdrygał się nawet przed zabiciem kogoś, to wszystko czynił on dla tego jedynie, że inni czynili tak samo, i że nie był do tego stopnia wykształconym, aby poznać, że grzeszy. Głównie zaś dla tego, aby raz po raz widzieć ubóstwianą Leę.

Nie znał on nigdy rodziców swoich. Matka jego, urodzona i wychowana w Horce, poszła później w służbę do Warszawy i wróciła ztamtąd z małym chłopczykiem.

Był to Leon, jej syn — ojca jego nie znał we wsi nikt, i młoda kobieta nie wymieniała nigdy jego nazwiska. Nie wróciła też bez pieniędzy — przeciwnie nawet, uwodziciel dał jej sporą sumę na wychowanie chłopca. Kupiła więc w Horce chałupę, kawałek pola, i pracując pilnie miała tyle, ile jej było potrzeba na wyżywienie swoje i Leona.

Zaledwie się młodzi Horczanie dowiedzieli o jej majątku, gdy zaraz kilku zgłosiło się do niej z propozycyą małżeństwa.

I wybrała jednego z nich, ale wybór ten nie był szczęśliwym.

Poszła za mąż za człowieka, bardzo wprawdzie przystojnego, ale złodzieja, marnotrawcę i pijaka. Ostatnie kilkaset guldenów zmarnował i przepił w przeciągu pół roku, a gdy żona mu wyrzucała taką lekkomyślność, wybił ją okropnie i wyrzucił z chaty. Nieszczęśliwa kobieta znosiła wszystko z anielską cierpliwością, najboleśniejszemi jednak były jej wyrzuty sąsiadów, którzy jej takie życie zaraz z początku przepowiadali.

Nie mogło się to dobrze skończyć, i skończyło się nawet bardzo smutnie.

Póki mąż bił ją samą, milczała i cierpiała z pokorą, ale gdy zaczął bić i poniewierać Leona, wtedy obudziła się w niej hardość i gniew szalony.

— Mnie możesz zabić, — zawołała, — bo zasłużyłam na to, wychodząc za ciebie, — ale jeżeli raz jeszcze dotkniesz dziecka, to ja cię zabiję! Przysięgam ci to! Strzeż się więc!

Przez pewien czas przestał się pijak znęcać nad chłopcem, który najpiękniejszem w całej wsi był dzieckiem, ale potem znowu zaczął go bić tak, jak dawniej.

Pewnego dnia miał Leon nieszczęście stłuczenia talerza, z którego ojczym zawsze jadł. Matka zdrętwiała, wiedząc, że to męża jej do wściekłości doprowadzi. Innego kupić nie mogła, bo takich w Horce nie miał, i zlepić go także nie szło. Gdy mąż wrócił z pola, zażądał obiadu i zapytał, dlaczego nie ma swego zwykłego talerza.

— Talerz twój stłuczony, — odrzekła żona.

— Kto go stłukł? — zawołał mąż, a oczy jego błysnęły groźnie.

— Ja!

Ale Leon chciał się też poszczycić swoim czynem i zaprotestował energicznie słowom matki. Opowiedział ojczymowi nawet zupełnie dokładnie, jak zrzucił talerz z stołu, i jak ładnie zadźwiękły skorupy na ziemi.

Wtedy popadł ojczym w wściekłość prawdziwie zwierzęcą. Przywiązał chłopca do łóżka, i wziąwszy kija, zaczął go bić niemiłosiernie.

Matka stała przy tem, milcząca, śmiertelnie blada, z złowrogim w oczach wyrazem.....

Gdy ojczym przestał bić, odwiązała dziecko, zaniosła je do łóżka i owiązała rany, z których krew płynęła. Przy tem wszystkiem ani jednego nie wymówiła słowa, i milczenie jej powinno było ostrzedz męża przed czemś okropnem — ale on na nic nie zważał! —

Tego dnia nie poszedł już na pole — taki gniew trzeba było wódką spłukać! Zażądał więc od żony resztki pieniędzy i poszedł do karczmy.

Ile tam pił — tego najlepszym dowodem, że wracający o północy sąsiedzi, zapukali do okna jego chaty i zawołali żonie:

— Wasz mąż przepił nietylko wszystkie pieniądze, ale nadto i srebrny krzyż, który stoi na komodzie!

— On będzie krzyża potrzebował, — odrzekła spokojnie kobieta.

Nad ranem wrócił — pijany do nieprzytomności.

Żona czekała na niego, czytając pismo święte przy lampie.

— Czemu się lampa jeszcze pali, — krzyknął, wtaczając się do izby. — Co u licha — ty siedzisz jeszcze? Ruszaj spać i zgaś lampę! Jaka rozrzutność niepotrzebna!

Żona milczała. Przed tygodniem wyciągnął ją z łóżka, klnąc straszliwie i bijąc ją za to, że się w czasie jego nieobecności śmiała udać na spoczynek.

— Chcę iść spać! — krzyczał, — zgaś lampę! Złość mnie dusi, gdy myślę o moim talerzu! Ale dobrze mi, po co się ożeniłem! Wszystko mi marnujecie, będę może jeszcze musiał żebrać.....

Był on prawie żebrakiem, gdy się żenił.

— Może zjesz najpierw kolacyą, — rzekła kobieta spokojnie, wstając i zbliżając się do komina.

— Kolacyą? Tak, dawaj, jestem głodny!

I rzucił się na krzesło.

Kobieta stała już przy kominie i przygotowywała jadło.

Potem przyniosła mu kawałek wędzonej słoniny, trochę kapusty i chleba.

— Oh, jaka obfita kolacya! — krzyknął pijany, zabierając się z chciwością do jedzenia.

Ale zanim zjadł połowę słoniny, gdy nagle zbladł, i przerażonemi oczami spojrzał na żonę.

— Co to jest? — wyjąkał z trudnością, — tak mi — niedobrze — ta słonina..... — —

— Słonina była zatrutą, — odrzekła matka Leona i zamknęła drzwi izby na klucz.

— Zatrutą!

Nieszczęśliwy chciał się podnieść, ale nie mógł.

Zaczął więc krzyczeć jak zwierz, żona jednak siedziała przy oknie, tak, jak gdyby nic nie słyszała.

I podczas kiedy on upadł z krzesła na ziemię i w śmiertelnych tarzał się konwulsyach, czytała ona głośno modlitwy za umierających, spokojnie, bez wzruszenia i litości!

— Idź po — doktora — błagał ,— nie daj mi — zdychać — jak psu.....

— Zdychaj, — odrzekła — nie będziesz już bił Leona!

Kilka minut później leżał w izbie, na ziemi trup. Trucizna na szczury, jaką kobieta miała od dawna, wywarła pożądany skutek i na człowieku.

Nazajutrz dziwili się sąsiedzi, że drzwi chaty zawsze są jeszcze zamknięte. Około południa wyłamano je przemocą i znaleziono w izbie otrutego gospodarza i powieszoną gospodynię — bo ona i sobie odebrała życie.

Tym sposobem został Leon sierotą.

Później wybrano mu opiekuna.

Był nim pewien bogaty włościanin, który prosił, aby mu chłopca oddano pod opiekę. Wszyscy uważali to za dowód wielkiej miłości bliźniego, podczas kiedy w rzeczywistości liczył on na to, że gdy Leon skończy lat sześć, zastąpi mu pasterza gęsi.

I biedny Leon nie znalazł szczęścia w domu swego opiekuna. Dostawał tam mało do jedzenia, a dużo bicia, butów nie znał wcale i ubrania tyle tylko ile koniecznie było potrzeba. Za to gdy skończył sześć lat, oddano mu gęsi pod opiekę.

Z dziesiątym rokiem awansował na pasterza kóz, z trzynastym powierzono mu owce, które musiał wypędzać w góry. Opiekun jego bardzo był z niego zadowolony.

Pomimo wszelkich uciążliwych prac i lichego wyżywienia, wyrósł Leon na olbrzyma, zawsze zdrowego i czerstwego, cieszącego się ogromną siłą. Ani zimno, ani gorąco nie szkodziło mu, spał tak wygodnie na twardej skale jak na słomie, a mając lat siedemnaście wsławił się na całą okolicę czynem, który mu nadał przydomek „niedźwiedzia.“

Rzecz miała się tak:

Od dawna już znajdował się w okolicach Horki i sąsiednich wsi niedźwiedź, który z niesłychaną śmiałością nawiedzał trzody owiec i bydła, wybierając sobie zawsze najlepsze ofiary. Napadał je we dnie i rozszarpywał w obecności pasterzy. Leon jeszcze go jednak nie widział.

Ale gdy pewnego dnia pasły się owce jego w ciasnym wąwozie, usłyszał nagle tuż za sobą okropne jakieś sapanie i mruczenie, i obracając się, spojrzał prosto w otwartą paszczę ogromnego brunatnego niedźwiedzia.

Leon miał tylko kij przy sobie.

Ale wiedząc, że niedźwiedzia można w danym razie zabić, a przynajmniej ogłuszyć uderzeniem w nozdrza, podniósł szybko swój gruby kij i zaczął nim bić z całej siły nieproszonego gościa.

Niedźwiedź jednak otrząsnął się i rzucił się na przeciwnika.

I straszna zawrzała walka.

Leon, nie mając innej broni, jak swoje silne ręce, objął szyję zwierzęcia i zaczął je dusić. Obydwaj przeciwnicy walczyli z całem natężeniem sił, ale kto wie, jakby się to wszystko było dla Leona skończyło, gdyby inni pasterze nie byli przypadkiem nadeszli.

Pokonanie niedźwiedzia stało się teraz łatwem, Leon zaś został bohaterem na całą okolicę i wszyscy wieśniacy i pasterze zaczęli się lękać jego siły.

Leon jednak bardzo był łagodny i dobroduszny. Pozwalał żartować z siebie, ale z drugiej znów strony, uczył się chętnie i dużo, mianowicie, gdy wykształceniem jego zajął się wójt, Michał Kamczyk.

Ksiądz, który przez kilka lat był w Horce, nauczył go, na prośbę wójta czytać i pisać, a młody pasterz z chciwością rzucał się później na książki i czytał wszystko co mu w ręce wpadło.

Że w Horce nie wiele było książek, a tem mniej dobrych, to aż nadto jasne.

Kilka lat później ujrzał piękną żydówkę i pokochał ją pierwszą, szaloną miłością.

Miłość ta stała się jego życiem, dla niej nie wahał się popełniać jednej zbrodni po drugiej. —

Nie pytał on o nic w świecie, gdy patrzał w jej oczy, zapominał o wszystkiem, gdy dotykał jej dłoni i Lea zrobiła z niego najpodlejszego zbrodniarza — zdrajcę i mordercę! —

Gdyby, uciekając z karczmy, nie był wziął szybko maski na twarz byłby go Bolski dawno już poznał, Leona znał bowiem każdy w całej tej okolicy.

I gdy znajdował się teraz na szczycie skały, był pewnym, że jest ocalonym.

Nagle jednak ujrzał idącego naprzeciwko siebie, także zamaskowanego — Henryka!

Tego właśnie pragnął teraz najmniej spotkać — wiedział przecież od Lei, że Henryk zawsze jeszcze kocha piękną śpiewaczkę, Teresę Krones.

I myśl że on strzelał przed chwilą do tej ukochanej swego pana, przeraziła go tak okropnie, że tracąc przytomność, rzucił się na kolana przed Henrykiem i krzyknął:

— Litości!

Henryk wiedział już o tem, co zaszło na sali w karczmie i domyślił się teraz natychmiast, kto zamach ten wykonał. Popchnął więc silnie zbrodniarza, nie usiłującego się wcale nawet bronić, i związawszy mu ręce i nogi, zaniósł go w głąb lasu.

Takim to sposobem wpadł zdrajca ten w ręce swego kapitana.

Henryk szedł coraz dalej i dalej, a Leon, który tymczasem z pierwszego ochłonął przerażenia, przeczuwał, że zemsta kapitana będzie strzaszliwą. —

Bo teraz trzeba wyznać wszystko!

Leon umiał mordować i zdradzać, ale kłamać nie umiał, nie wiedział nawet wcale, co to jest kłamstwo. Jeżeli zaś wyzna prawdę, to łaski od swego pana spodziewać się w żaden sposób nie może. —

Nareszcie na małej kępie, w cieniu kilku drzew, zrzucił Henryk Leona na ziemię i ukląknął mu na piersiach. Obydwaj zawsze jeszcze mieli maski na twarzy.

— *Więc to ty jesteś, — zawołał Henryk tym nędznikiem, — który śmiał strzelić do Teresy Krones!* Ach łotrze, chociaż nie zdołałeś jej zamordować — bo ona żyje i żyć będzie — to dla ciebie jednak ostatnia wybiła godzina! Precz z maską — Precz z maską — muszę wiedzieć kto — ach! to ty Leonie! Boże Wielki, tego się nie spodziewałem!

Nie, tego się rzeczywiście Henryk spodziewać nie mógł! Lubił on niezmiernie Leona i dawał mu nieustannie dowody swej łaski — tymczasem, jaką mu za to okazano wdzięczność?

Liczył on zawsze na przywiązanie Leona, na jego wierność, uważał go za najlepszego członka swej bandy, i podziwiał szczerze jego odwagę i siłę. Był on przekonany, że Leon dałby życie za niego, a teraz w nim właśnie poznał mordercę swej ukochanej Teresy!

Podczas przedstawienia znajdował się Henryk we wsi. Stał on nawet pod oknami karczmy, aby chociaż zdaleka spojrzeć na tę, która mu najdroższą była na świecie, potem, uniesiony miłością i rozpaczą, biegał po wsi, pytając się



Więc to ty jesteś, — zawołał Henryk tym nędznikiem, — który śmiał strzelić do Teresy Krones!

ciągle, czy wszystko jest snem, czy prawdą — czy może on się kiedyś jeszcze połączyć z Teresą, czy też musi jej się wyrzeknąć już na zawsze!

Była mu tak bliską, a jednak niedościgniona, kochali się nad życie, a byli zupełnie dla siebie obcymi!

I wszystko to było winą Lei, a raczej jej brata, który go zmusił do tego nienawistnego małżeństwa. I na myśl o tem jak jest, a jakby być mogło ogarnęła go taka wściekłość, że najchętniej byłby wpadł z swoją bandą na salę, wymordował połowę zgromadzonych, i porwawszy Teresę, uciekał z nią na koniec świata!

Nagle jednak usłyszał strzał i głośne potem krzyki. Przeczuł, że musiało się stać jakieś nieszczęście w karczmie, a tam przecież znajdowała się jego Teresa!

W pierwszej chwili chciał biedz, i przekonać się, co zaszło i czy jej jakie nie grozi niebezpieczeństwo, ale zanim zamiar ten zdołał wykonać, usłyszał wołania:

— Zamordowano Teresę Krones — trzymajcie mordercę — gońcie go — uciekł przez ogród....

(Ciąg dalszy nastąpi.)